



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Anna Rosel-Kicińska

Wypędzeni nie chcą przebaczać...

Wrzesień 1939 rok. Miałam wtedy 7 lat...

Byłam najstarszą z czworga rodzeństwa. Rodzice prowadzili 7-hektarowe gospodarstwo we wsi Branica w województwie łódzkim. Właśnie przed kilkunastoma dniami urodziła się nasza najmłodsza siostra Marynia. Rodzice, mimo dochodzących już do nas odgłosów wojny, pojechali ochrzcić córkę w parafialnym kościele w Strpińsku.

Ze strachem czekaliśmy z bratem i siostrą na powrót rodziców. Siedzieliśmy na podwórku, gdy usłyszeliśmy warkot samolotów. Patrzyliśmy w niebo i nagle jeden z nich zniżył się nad domami wsi, zaterkotał karabin maszynowy. Co sił w nogach pognaliśmy w zarośla kukurydzy, rosnącej koło domu. Leżeliśmy na szeleszczących, nagrzanym słońcem liściach i słuchaliśmy z bijącymi sercami strzałów, a później skowytu naszej ukochanej suczki Rezedki.

Gdy samoloty odleciały, wyszliśmy z kukurydzy i zobaczyliśmy na podwórku martwego szczeniaka Kajtka i rozpaczającą nad nim suczkę. Przytuleni do suczki, wspólnie płacząc, doczekaliśmy się przyjazdu rodziców. Dla nas kilkulatków tak rozpoczęła się wojna.

Kilka dni później ojciec postanowił zabrać rodzinę i uciekać przed zbliżającym się frontem. Nasza wieś leżała niedaleko Warty, gdzie już toczyły się zacięte walki. Nie pamiętam dokładnie trasy, którą uciekaliśmy. Jechaliśmy wozem, za którym sły przywiązane krowy. Przed nami i za nami sznury podobnych uciekinierów. Jechaliśmy wolno, często kryjąc się pod wozem, gdy zbliżały się samoloty. Towarzyszyły nam nieustannie odgłosy walk, w nocy luny pożarów.

Niedługo, bo zaledwie kilka dni, trwała nasza ucieczka. Zatrzymała nas przed Zgierzem wiadomość, że wojska radzieckie przekroczyły granicę wschodnią. „To już koniec” – powiedział ojciec i rozplakał się. Pierwszy i jedyny raz w życiu widziałam go wtedy płaczącego.

Wróciliśmy do domu. W drodze powrotnej spotkaliśmy maszerujące zwycięskie oddziały niemieckie. Szli zwartymi kolumnami, w hełmach nasuniętych na czoła, twardo i głośno wybijając krok. W moich dziecięcych oczach wydali mi się złowrodzy i groźni, mimo rzuconych nam cukierków. Mama zabroniła je podnosić. Dotarliśmy do domu. Rodzice zrozpaczeni, my – dzieci chore na biegunkę.

Pod koniec września wróciłam do szkoły, do której chodziłam od 6 roku życia. Byłam już w drugiej klasie. Lubiłam swoją małą 4-klasową szkołę i kochałam naszą nauczycielką panią Marię Wróblową, szczupłą, małą, o brzydkiej twarzy i ślicznych, falistych jasnych włosach. Była dla nas tak dobra i serdeczna. Uczyła nie tylko w szkole, odwiedzała w domu, przynosiła książeczki i czasopisma, przyjaźniła się z rodzicami. Jej zawdzięczam miłość do książek, które szybko zaczęłam czytać i opowiadać rodzeństwu. Ten rok szkolny późno się zaczął i jeszcze szybciej skończył.

W połowie października, gdy siedzieliśmy w klasie, czekając na rozpoczęcie lekcji, otworzyły się drzwi i weszła nasza pani z grubym Niemcem w mundurze. Była bardzo blada, ślady po ospie wyraźnie wystąpiły na jej szczupłą twarz i tylko śliczne, świetliste włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze. Cichym głosem tłumaczyła nam ostre, gardłowe słowa Niemca: „Szkoła ma być zamknięta. Mamy wrócić do domu i czekać na dalsze rozporządzenia”. A pani? – zapytało któreś z nas? „Ja muszę wyjechać jeszcze dziś” – odpowiedziała nauczycielka.

Jesień 1939 roku to smutne, pełne lęku dni. Co będzie dalej? Co nas jeszcze czeka? Ojciec, jak nigdy, często wychodził do sąsiadów. Mama czekała niespokojna. Wracał z ponurą miną. Szeptali później długo w kuchni, gdy my już leżeliśmy w łóżkach. Te szepty nie pozwoliły mi usnąć. Coraz częściej wychwytywałam z ich rozmów jedno słowo „wysiedlenie”... Nie wiedziałam, co to znaczy. Moje rodzeństwo, zbyt małe, aby cokolwiek zrozumieć, zajęte było swoimi zabawami. Ojciec próbował mnie uczyć, ale brakowało mu czasu, więc uczyłam się sama z książeczek, które zachowałam. Gdy przeczytałam je wszystkie, zabrałam się do biuletynów z Kasy Stefczyka, co tatę bardzo śmieszyło.

Coraz bardziej narastał niepokój w naszym domu. Niemcy wpadali niespodziewanie do wsi, oglądali domy i zabudowania gospodarcze, przeprowadzali spisy inwentarza, badali wielkość gospodarstw, krzyczeli na wszystkich. Ojciec schował część ziarna w sąsiaku pod słomą. Mama piekła chleb i suszyła suchary, smażyła smalec. Podpatrzyłam, że zamiast guzików, przyszywała do naszych dziecięcych palt 10-złotówki, obszyte tym samym materiałem. W pokoju stały starannie powiązane pakunki. Wreszcie odważyłam się zapytać mamę po co to wszystko? „To na wypadek wysiedlenia”. Co to jest wysiedlenie – zapytałam. „Po prostu Niemcy wyrzucą nas z domu i wywożą”. Dokąd? „Nie wiemy”. Kto będzie mieszkał w naszym domu? „Niemiec”. Ale to nasz dom! „Tak, ale oni nas napadli i zwyciężyli”. Odtąd już nie mogłam spokojnie spać. Lęk udzielił się nawet bratu i siostrze. Tylko najmłodsza Marynia spokojnie ssała pierś mamy.

Pierwsze wojenne Boże Narodzenie mimo braku nafty, opału i wielu innych ograniczeń było dla nas dzieci szczęśliwe. Rodzice jak zawsze ubrali choinkę, przygotowali skromniutkie upominki, a mama sobie tylko znanymi sposobami zdobyła, co potrzeba, i urządziła nam Wigilię i Święta. Przyjechali nasi krewni z Sieradza. Półgłosem toczyły się pełne grozy opowieści o życiu pod okupacją, o śmierci znajomych, aresztowaniach, wywózkach, różnorodnych zakazach i ograniczeniach żywnościowych. Mało z tego jeszcze rozumiałam, ale bałam się coraz bardziej. Schudłam i nie mogłam spać, a zawsze byłam szczuplutka. Mama zabierała mnie do swego łóżka, przytulała i starała ukołysać do snu.

Coraz bardziej niedomagałam. Rodzice pojechali ze mną do krewnego mamy – lekarza w Zduńskiej Woli. Szłyśmy z mamą chodnikiem, gdy zatrzymały nas grupki milczących ludzi, stojących wzdłuż ulicy. „Biorą Żydów” – powiedział ktoś przed nami. Mama stanęła ze mną przy krawężniku. Środkiem ulicy szli starcy w długich płaszczach, kobiety okutane chustkami, trzymające na rękach dzieci. Nieśli toboły, walizki i szli w stronę dworca kolejowego, oganiani wrzaskiem eskortujących Niemców. Pamiętam do dziś małego, chyba 4-letniego chłopca. Był trochę mniejszy od mego brata. Szedł brzegiem ulicy trzymany za rękę przez wysoką kobietę. Płatały mu się trochę nogi, ale szedł i patrzył na ludzi stojących na chodniku. Spojrzał na mnie dużymi, czarnymi oczyma. On spokojny, nawet ciekawy tego, co się dzieje, ja z lękiem, bo w domu mówiono, co grozi Żydom od Niemców. Odwrócił się, popatrzył jeszcze raz na mnie i pociągnięty za rękę poszedł dalej. Mama opowiedziała o tym ojcu, który mruknął tylko „Niedługo nasza kolej”.

Zima 1940 roku. Miałam wtedy niespełna 8 lat...

Ta zima zaczęła się dużymi śniegami i mrozami. Cierpieliśmy na brak opału i nafty. Nie było czym palić. Las, z którego ojciec zwykle przywoził drewno, stał się niedostępny. Wolno było przywozić tylko chrust, który szybko płonął i dawał mało ciepła. Tatuś rąbał stare deski, wycinał drzewa na łące. Chodziliśmy wszyscy ubrani „na cebulkę”. Mój brat Staszek i siostra Terenia popłakiwali. Mama rozgrzewała nas gorącymi naparami lipy. Ten zapach jeszcze dziś kojarzy mi się z okupacją. Nasze życie toczyło się w kuchni, gdzie podtrzymywaliśmy ogień i gdzie było nieco cieplej. Tak mijały tygodnie, a ja oswajałam się z nowymi dla mnie słowami – „Rzesza”, „Generalne Gubernatorstwo” czy po prostu „Gubernia”...

Przy końcu lutego wstaliśmy, jak zwykle, wcześniej rano. Mama i ojciec pracowali jakiś czas w oborze i chlewni, później wrócili do domu. Ja w tym czasie sprzątałam i ustawiałam talerze na poranną zupę. Mama rozpałała ogień i gotowała, ciągle mieszając, w garnku. Ojciec czekał na śniadanie i dmuchał w zamrożone szyby okna. Nagle usłyszeliśmy warkot samochodów i szczekanie Rezedki. Tata wyskoczył na ganek. Szybko wrócił i powiedział krótko do mamy: „Ubieraj dzieci, pakuj się szybko!”. Zmartwiła ze strachu rozumiałam, że nadeszło właśnie „wysiedlenie”.

Za chwilę usłyszeliśmy strzały. Ojciec ponownie wyszedł z domu. Nie było go przez chwilę, później wrócił z żandarmem i tłumaczem. Chudy, z wąsami jak szczotka tłumacz powiedział, że mamy 15 minut na ubranie, zabranie najpotrzebniejszych rzeczy, bo podwoda już czeka. Zaraz wyjeżdżamy. Rodzice nawet nie pytali dokąd. Matka gorączkowo ubierała nas w najcieplejsze rzeczy, pakowała w worki pierzyny, wiązała w becik Marynię.

Każde z nas dostało do ręki pakunek, nawet mała gruba Terenia niosła zapakowany garnuszek smalcu. Ja dostałam zawiniątko z bochenkiem chleba i przywiązaną do pleców poduszkę. W jednej kieszeni pałta miałam butelkę mleka dla Maryni, do drugiej schowałam zwiniętą książeczkę do języka polskiego. Niemiec wrzeszczał i przyśpieszał. Popychani pięścią i kolbą karabinu wyszliśmy z domu. Na podwórku leżała zabita Rezedka. Gdy zapłakałam, tłumacz powiedział, że psy należy wiązać, nawet w ogrodzeniu. Na drodze przed domem czekał duży wóz. Siedzieli już na nim nasi sąsiedzi. Wsiadliśmy i my. Konie ślizgały się po mroźnym, wyjeżdżonym śniegu. Ostre powietrze tamowało dech w piersiach. Ruszyliśmy. Patrzyliśmy wszyscy na nasz dom, z którego unosił się wciąż dym z komina. Za zakrętem zniknął nam z oczu. Nie wiedzieliśmy wtedy, że już nigdy go nie ujrzymy.

W przejmującym zimnie zapakowano nas z kilkoma innymi wysiedlonymi rodzinami na wozy i zawieziono na dworzec w Zduńskiej Woli. Stamtąd pociągiem towarowym do Łodzi, do przejściowego obozu. Towarzyszyla nam eskorta ciągle wrzeszczących żandarmów. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego oni tak ciągle, bez powodu, wrzeszczą. Wszyscy przecież, nawet dzieci, byliśmy jakby zmartwiali. Rodzice i nasi sąsiedzi zrozpaczeni wywózką, mroczną przyszłością milczeli ponuro i ogarniali tylko przed mrozem dzieci. Każdy też trzymał kurczowo swoje pakunki – jedyne dobro, jakie pozostało na nieznany los.

Po kilkugodzinnej podróży znaleźliśmy się skostniali z zimna w obozie przejściowym w Łodzi. Najpierw przeszliśmy kontrolę sanitarną i rewizję osobistą. Dwie długie kolejki, jedna mężczyzn, druga kobiet, powoli przesuwały się w kierunku rewidujących. Trzy Niemki „zajęły się” mamą. Zdjęły jej z szyi złoty łańcuszek z medalikiem, a z ręki brutalnie ściągnęły dwa skromne złote pierścionki, które dostała od taty na zaręczyny i w dniu ślubu, a które z trudem schodziły z jej zgrubiałych od pracy palców. Ojcu zabrano wszystkie pieniądze. Nie wykryto srebrnych monet-guzików przy naszych pałtach. Mnie zabrano i wrzucono do kosza książeczkę do polskiego. Obejrzano nasze głowy: „czyste” – zdecydowały Niemki. Szczególnie zainteresowały się naszą siostrą Terenią, która była ślicznym pulchnym stworzeniem. Jasna blondynka o ogromnych niebieskich (po mamie) oczach wyraźnie im się podobała. Mama przerażona pociągnęła siostrę za rękę i szybko odeszła. Często wtedy opowiadano o odbieraniu rodzicom i wywożeniu do Niemiec dzieci o nordyckim wyglądem.

Był wieczór. Pamiętam ogromną ciemną halę, chyba fabryczną, pełną barłogów ze słomy na betonowej posadzce, na których leżało lub siedziało całymi rodzinami mnóstwo ludzi. Było tam chłodnawo, ale mimo to panował okropny zaduch.

Rodzice znaleźli wolny barłóg. Mama uważnie przejrzała słomę, czy nie było w niej robactwa i ojciec złożył tam nasze pakunki. Później mama pościeliła nam prowizoryczne łóżko, kazała się położyć i przykryła pierzyną, chroniąc w ten sposób przed zimnem. Byliśmy głodni, więc dała nam po kawałku chleba ze smalcem. Ojciec poszedł poszukać czegoś ciepłego do picia. Przyniósł czarną zbożową kawę, która choć zaledwie letnia, została wypita przez nas wszystkich. Zabrano nas przecież bez śniadania, odbyliśmy długą podróż. Zmęczeni tymi przeżyciami, zasnęliśmy mimo nieustannego hałasu.

Rodzice próbowali dowiedzieć się od ludzi, co nas czeka? Dokąd nas wywożą? Mówiono tylko że wywożą do Guberni, daleko od rodzinnych wsi, aby uniemożliwić powrót, a nawet jakiegokolwiek kontakty.

Nie pamiętam już, jak długo przebywaliśmy w tym obozie. Pamiętam jednak te barłogi, zaduch, ciągły strach i głód, bo dawano nam tylko ciemną kawę, jakieś cienkie zupki i niewielkie ilości chleba. Mielśmy też kłopoty z chodzeniem do ubikacji, których było za mało na tak wielką ilość ludzi. Co pewien czas pojawiali się Niemcy i głośno odczytywali nazwiska tych, którzy mieli wyjeżdżać kolejnym transportem. Od wysiedleńców spod Sieradza mama dowiedziała się, że wysiedlono całą jej rodzinę, a siostry i braci wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

Pewnego dnia usłyszeliśmy nasze nazwisko. Mama znów zapakowała pierzynę, wzięła Marynię na rękę. Tatuś pakunki i poszliśmy w kolejce ludzi przeznaczonych do transportu.

Na którymś z łódzkich dworców (nie pamiętam, którym) zapakowano nas, wraz z innymi wysiedleńcami, do towarowych wagonów. Były stare, brudne, miały szpary w ścianach i znowu słomę na podłodze. Rodzice umieścili nas dzieciaki w rogu wagonu, na złożonych tam tobołkach. Sami usiedli tak, aby nas odgradzić o tłoczących się ludzi, których było za dużo na małą powierzchnię wagonu. Jechali starcy, ludzie młodzi, z dziećmi i niemowlakami, jak nasza Marynia. Wszyscy starali się jakoś rozmieścić. Było bardzo zimno. Mama znów rozpakowała pierzynę i kazała nam wejść pod nią. Pociąg stał. Czekaliśmy długo, aż wreszcie pojawili się Niemcy z tłumaczem, ostro zakomunikowali, że wychodzić będziemy za swoją potrzebą na wyznaczonych przystankach, nie wolno oddalać się nikomu bez zezwolenia. Na pytanie, dokąd jedziemy – nie odpowiedziano.

Zamknięto wagony z zewnątrz i pociąg ruszył. Zapadła noc. Obudziłam się w nocy. Pociąg jechał niespiesznie, rodzice rozmawiali po cichu z siedzącymi obok ludźmi. Mama trzymała ha kolanach becik z popłakującą Marynią. Zaczęłam też płakać. Tatuś gładził mnie po głowie i uspokajał. Spłakana zasnęłam znowu.

W moich wspomnieniach nie jestem w stanie policzyć dni, które spędziłam w tym zimnym towarowym wagonie. Pamiętam, że wypuszczano nas kilka razy w polu, za potrzebą, ale okazało się to niewystarczające i w końcu mężczyźni poszerzyli jakąś dziurę w podłodze wagonu, która odtąd służyła za ubikację. Byliśmy już bardzo brudni i zmęczeni, a we znaki dawały się głód i zimno, bo otrzymaliśmy na drogę oszczędnościowe porcje chleba i jakąś marmoladę, po której ja z bratem mieliśmy rozstrój żołądka. Ojciec, który wraz z innymi śledził przez szpary nazwy mijanych stacji, powiedział nam, że prawdopodobnie wywożą nas na Lubelszczyznę. Nic mi to wtedy nie mówiło, ale czułam, że to bardzo daleko od domu.

Wreszcie któregoś wieczora pociąg zatrzymał się, otworzono wagony i kazano wychodzić. Była to jakaś stacyjka koło Zaklikowa w województwie lubelskim. Czekano wiele wozów. Rozwożono nas w różnych kierunkach. Nas, wraz z innymi ludźmi, załadowano na konną furmankę i przy trzaskającym mrozie wieziono powoli drogą przez ogromny las. Zziębniętych, wymęczonych pasażerów naszej furmanki, a były tam w sumie cztery rodziny, wyrzucono wreszcie przed jakimś ciemnym drewniakiem w lesie. Kazano zająć kwatery. Przewodnik z latarnią pokazał ten dom. Budynek stary i zniszczony składał się z czterech izb. W każdej z nich stała kuchnia z paleniskiem... i nic więcej. Nie było w czym wybierać. Ojciec wprowadził nas do pierwszej z brzegu. Położył bagaże na podłodze, zapalił ogarek świecy, która służyła nam już w pociągu. Patrzyliśmy przerażeni na zimną, pustą izdebkę, brudne ściany, małe okienko. Mama, ciągle z Marynią na rękach, oparła się o ścianę i rozplakała. Tatuś podszedł do niej, pogłaskał po głowie jak dziecko i powiedział: „Jeszcze żyjemy, zobaczysz, będzie dobrze”. Pamiętam te słowa, bo często je później w trudnych chwilach powtarzał.

Ta pierwsza noc! Ojciec przyniósł z lasu gałęzi sosnowych, z których zrobił posłanie. Mama rozłożyła naszą przyjaciółkę pierzynę i kazała się położyć. Gdy tak leżeliśmy, otwarły się drzwi i weszła kobieta, a za nią dwóch wyrostków z kotłem gorącej zupy i stojącą latarnią. To nadleśniczyna, którą Niemcy zawiadomili o naszym przyjeździe, postanowiła pomóc nam w pierwszych chwilach pobytu. Z rozkoszą jedliśmy pierwszą od kilku dni gorącą zupę. Powiedziała rodzicom, że znajdujemy się w nadleśnictwie Lipa, że do najbliższych zabudowań wsi jest około kilometra i że Niemcy rzadko tu zaglądają. Lipa była położona między Zaklikowem a Janowem Lubelskim, wśród ogromnych lasów, w których już byli partyzanci. Rodzice wypytywali o wszystko. Dalej już nie słuchałam. Zmęczona nieludzko zasnąłam głębokim snem.

Nazajutrz rano mama zajęła się urządzaniem naszego, pożal się Boże, domu, a tatuś poszedł z mężczyznami z baraku dowiedzieć się, jak i za co będziemy tutaj żyli. Wyjrzałam na dwór. Ten obskurny barak był otoczony wspaniałym, wysokim borem. Ale co za pustka! Tatuś wrócił milczący. Widziałyśmy z jego miny, że przyniósł niedobre wieści. W nadleśnictwie powiedziano mu, że wysiedleńcy dostaną pracę przy wyrębie lasów, ale ciężką i nisko opłacaną. Tylko drewna na opał nam nie zabraknie.

Mamę wzięła do pomocy nadleśniczyna, ale nie podała jeszcze warunków wynagrodzenia. Mieszkańcy pobliskiej wsi to biedni, kilku-morgowi chłopci, sami cierpią biedę, więc na pomoc z ich strony nie można liczyć.

Pojawiło się widmo głodu. Tym groźniejsze, że nie wiedzieliśmy, jak długo przyjdzie nam tu żyć. Przez pierwsze dni nadleśniczyna zapewniała nam kocioł zupy, ale co dalej? Nie mieliśmy nic poza resztką sucharów. W naszej izbie nie było naczyń, wiadra, miednicy.

Mimo wszystko rodzice zaczęli urządzać tę naszą izbę. Drewna nie brakowało, więc tatuś zbił szerokie prycze, duży stół na stojakach, ławy i stołki. Mama zalepiła szpary w ścianach, wyszorowała podłogę, umyła okienko. Na szczęście było czym palić, więc przestaliśmy bać się zimna.

Gdy pierwszy raz usiedliśmy przy zrobionym przez ojca stole, poczułam się nieco raźniej.

Rodzice odbyli ze mną poważną rozmowę. Oni muszą iść do pracy, abyśmy nie zginęli z głodu. Ja muszę zastąpić mamę w domu i zaopiekować się rodzeństwem. Rozumiałam, że to konieczne. Przygnieciona tym, co nas spotkało, obcością otoczenia nie zdawałam sobie w pełni sprawy z moich obowiązków. Było mi wszystko jedno.

Zrozumiałam jednak szybko, że zastąpić mamę w domu to trochę za dużo na moje niespełna 8 lat. Sprzątałam, odgrzewałam zupę, pilnowałam rodzeństwa i ognia, aby nie wygasł. Przede wszystkim zajmowałam się Marynią, przewijałam, dbałam, aby miała ciepło, huśtałam, gdy płakała. Gdy ręce mdlały mi od jej noszenia, rozpinałam jak mama suknię i przytulałam siostrę do swej chudej, nagiej piersi. Ale głodna Marynia nie dawała się oszukać. Przesuwała łapką po moich sterczących obojczykach i zaczynała na nowo swój koncert. Mama wpadła raz w ciągu dnia pracy, aby ją nakarmić, i wtedy przez jakiś czas był spokój.

To dziwne życie toczyło się przez dłuższy czas. Wreszcie zniecierpliwiony tata poszedł do nadleśniczyny dowiedzieć się, za co właściwie pracuje mama? Poskutkowało! Dostaliśmy kartofle, trochę mąki, jakieś inne produkty i naczynia, a najważniejsze – pół litra mleka dziennie dla Maryni! Zaczęło się gotować posiłki. Było tego jednak bardzo mało i wszyscy chodziliśmy często głodni.

W którąś niedzielę rodzice postanowili pojechać do Zaklikowa. Mama zapakowała swój granatowy, uszyty przed wojną kostium, 2 jedwabne bluzki, wyłuskała srebrne monety z naszych guzików u palt i jeszcze jakieś drobiazgi. Wrócili furmanką. Przywieźli ziemniaki, mąkę, kaszę, słoninę, jakieś niezbędne sprzęty do domu. Pozwoliło nam to przeżyć do pierwszej wypłaty ojca.

Wkrótce mama przestała pracować w nadleśnictwie. Marynia chorowała, ja ślaniałam się na nogach, a ponadto przypomniła sobie o mnie szkoła. Była oddalona o prawie 3 kilometry od naszego drewniaka, chodziłam tam codziennie w swoich rozkładanych butach, brodząc po pełnej błota drodze.

To była osobliwa szkoła. Tak bardzo różna od mojej pierwszej przedwojennej. Nauczyciele apatyczni, sprawiali wrażenie mało przytomnych. Było im obojętne, czy jesteśmy obecni na zajęciach. Lekcje sprowadzały się tylko do prostych rachunków i czytania. Wszystko to już umiałam, więc z głodu i zmęczenia przysypiałam na lekcjach. Ubogo ubrana, błada, niedożywiona, inaczej mówiąca byłam często pośmiewiskiem dla tamtych dzieciaków, które czuły się u siebie. Nauczyciele wcale nie interesowali się nami, dziećmi wysiedleńców. Nigdy żaden z nich nie odwiedził nas w domu. Może się bali? Prawie wszyscy w tym czasie byli zastraszeni. Przez cały okres mojego pobytu w tej szkole nie zaprzyjaźniłam się z nikim i nikt nie okazał mi odrobiny życzliwości. Może była w tym i moja wina. Milcząca, zamknięta w sobie, nie umiałam się bawić. Stałam z boku, gdy one grały w piłkę czy inne gry. Byłam dzieckiem, z którego wojna wyssała całą radość życia. Nie miałam jednak żadnych trudności w nauce i przechodziłam z klasy do klasy, bo okrojony przez Niemców program był dla mnie śmiesznie łatwy.

Naukę w tej szkole rozpoczął również mój brat Stach. Podobnie jak ja nie lubił jej i swoich kolegów. Ze względu na jego chudość przezywano go pająkiem. Często wracał z płaczem.

Mama była w domu. Jak dobrze było wracać ze szkoły i zastawać ją przy nagrzanym piecu z Marynią na kolanach. Tylko ten głód! Nigdy prawie nie najadaliśmy się do syta, a to, co jedliśmy, to były rozpaczliwe okupacyjne wynalazki mamy. Gdy kończyły się kartofle, zdobyte za wyprzedaż garderoby, mama robiła nam przączuchę, którą będę pamiętała do końca życia. Myło się dokładnie ziemniaki, gotowało w obierkach, a później zasypywało ciemną razową mąką i tłukło. Mama krasila tę potrawę olejem z odrobiną cebuli. Jedliśmy to i popijaliśmy czarną zbożową kawą słodzoną sacharyną. O mleku i mięsie można było tylko marzyć. Gdy od czasu do czasu pojawiał się chleb, który pieczono w wyremontowanym przez ojca piecu, w domu było święto. Mama kroila ten chleb uważnie, cienko, a my śledziliśmy jej ruchy i liczyliśmy kromki. Każde z nas dostawało po jednej kromce. To było całe misterium. Zjadaliśmy zupę – barszcz, polewkę czy wodziankę, a chleb zostawialiśmy sobie na koniec, jak przysmak. Patrzyliśmy na nasze kromki pod światło, aby sprawdzić, jak były grube, a gdy prześwitywały, wołaliśmy, że widać jak wujek (brat ojca) chodzi po Warszawie. Dopiero później, po latach, dowiedziałam się, że rodzice nie dojadali często, aby tylko nam dzieciom zostawić tego chleba jak najwięcej.

Ten głód to jedno z najtrwalszych wspomnień mojego okupacyjnego dzieciństwa na wygnaniu. Zakorzeniło się tak głęboko we mnie, że przez całe późniejsze swoje życie nie wyrzuciłam i nie wyrzucam nawet okruchów chleba. Nie mogę!

Niewielu ludzi interesowało się naszym losem, prawie nikt nie pomagał. Życzliwa nam w sumie nadleśniczyna od czasu do czasu zapraszała mamę, mnie i brata do siebie, gdzie jej córka – moja rówieśnica, wypieszczona jedynaczka urzędowała wtedy „przyjęcia dla lalek”. Mieliśmy się z nią bawić. Dziewczynka wyciągała swoje śliczne lalki i całą lalczyną kuchnię, później przygotowywała z mikroskopijnych herbatniczków „kolacje”, w których uczestniczyliśmy jako lalczyńscy goście. Patrzyliśmy z bratem wygłodzeni na te przyjęcia i marzyliśmy o kromce chleba z masłem lub smalcem. Ale o tym jakoś nie pomyślano. Mama była w tym czasie częstowana kawą i chlebem, który w drodze powrotnej wyciągała dla nas z kieszeni fartucha. Przemycała go, poprzestając na kawie.

Gdy było już bardzo źle, mama z ojcem zabierali wiadro i udawali się do Zaklikowa, do jakiejś kuchni dla wysiedleńców, gdzie dawano zupę i ciemny chleb. Pamiętam jeden taki dzień; mama zostawiła mi w garneczku ostatnie kilkanaście małych ziemniaków, kazała ugotować i czekać na ich powrót. Moja siostra Terenia bardzo głodna znalazła gdzieś w kąciku pozostawiony przez mamę garneczek z rozrobionym wapnem i myśląc, że to mleko Maryni, napiła się. Płakała później a ja połam ją wodą. Nie wiedziałam, co robić. Aby jakoś uspokoić głodnego dzieciaka, dałam jej ugotowanego kartofla. Pozostali przysunęli się do kuchni i patrzyli na mnie wyczekująco, więc dałam każdemu po kartoflu. Cóż to jednak było dla małych głodnych dzieci? Zanim wrócili z miasteczka rodzice, zjedliśmy je wszystkie.

Na szczęście kończyła się zima. Nastaly wiosenne pogody i okolica poweselała, zwłaszcza las. Był naprawdę piękny i ogromny. Można było w nim zginąć. Był płodny we wszystkie odmiany owoców i grzybów. Mama znalazła więc nowe źródło utrzymania. W miarę jak pojawiały się poziomki, później jagody, grzyby zabierała nas – mnie i brata, do lasu. W domu pozostawały Terenia z Marynią, których rozpląszczone na szybie nosy i zapłakane buzie żegnały nas odchodzących.

Zbieraliśmy te płody leśne do bólu pleców, a rodzice zawozili to do miasteczka, gdzie wymieniali na produkty niezbędne do życia. W ten sposób częściej pojawiał się w domu chleb, a dla najmłodszej mleko. Marynia była jednak chudym dzieckiem o ogromnych oczach, w sposób widoczny niedożywiona. Te głodne lata wczesnego dzieciństwa odbiły się na jej zdrowiu. Gdy dorosła, była zawsze najsłabsza z nas. Już nie żyje. Zmarła przedwcześnie.

Wszyscy byliśmy okropnie chudzi, długonodzy, o piszczelowatych łydkach i sterczących kościach policzkowych. Mama żywiła nas czym mogła. Jedliśmy latem dużo owoców leśnych. Zamiast chleba, gdy go nie starczało, mama robiła z czarnej mąki makaron. Ten makaron bez jajek, gotowany na obiad, wymieszany z jagodami, borówkami lub grzybami pamiętam jako przysmak. Było go zawsze za mało na naszą 6-osobową rodzinę. Mama zdobyła gdzieś dużą butlę tranu. Przez dłuższy czas piliśmy ten tran codziennie rano, ale nie protestowaliśmy, bo każde dostawało przy tym kawałek chleba z solą, który długo trzymaliśmy później w ustach.

Tatusz ciągle pracował przy wyrębie drzew. On też był chudy i wyczerpany. Coraz częściej mówił, że trzeba stąd uciekać, że nie zdołamy w ten sposób przeżyć wojny.

Niestety możliwości wyjazdu były małe. Rodzina ojca w Łodzi włączonej do Rzeszy nie mogła nam pomóc. Dzielili nas granica. Rodzinę mamy wysiedlono jak nas. Pozostała jedynie przyrodnia siostra ojca, zamężna za lekarzem w Czerwinie koło Ostrowi Mazowieckiej. Ojciec napisał do niej list z prośbą o pomoc w znalezieniu jakiejś pracy, która pozwoliłaby mu utrzymać rodzinę. Postanowił też, że spróbuje przedrzeć się przez granicę i dotrzeć do naszej wsi, aby zobaczyć, co się dzieje z domem, gospodarstwem. Miał nadzieję przywieźć coś dla nas od przyjaciół.

Niewiele wiedziałam o pracy ojca. Wiedziałam tylko, że wracał bardzo zmęczony i że dzięki niej mogliśmy bez ograniczeń korzystać z drewna do ogrzewania. Zarabiał niewiele. Czasami wracał podniecony i cicho opowiadał mamie o śladach obozowisk partyzanckich, na jakie drwale natrafiali w lesie. Kiedyś Niemcy zrobili w lesie obławę. Przejechali obok nas samochodami pełnymi uzbrojonych żołnierzy. Później słychać było strzały. Nie widziałam jak wracali. Ludzie mówili, że ponieśli klęskę, że wielu z nich zabito. Rzadko się jednak pojawiali. Bali się tych lasów i ich mieszkańców. Już po naszym wyjeździe spacyfikowali jedną z wsi za współdziałanie z partyzantami.

Na przełomie listopada i grudnia tatuś zdobył pod jakimś pretekstem kilka dni wolnego i zniknął z domu. Domyśliłam się z przygotowań, że poszedł przekroczyć granicę i dotrzeć do naszej wsi. Nie było go 5 dni. To był koszmar! Mama chodziła zdenerwowana, wszystko leciało jej z rąk. Właściwie nie spała. Widziałam, jak kładła się w ubraniu na łóżku, wielokrotnie podchodziła do okienka, wyglądała na dwór. Jej zdenerwowanie udzieliło się i mnie. Czekaliśmy i dni wydawały się nieznośnie długie, a noce jeszcze dłuższe. Mama to nas tuliła, to krzyczała bez powodu. Wreszcie piątej nocy usłyszeliśmy pukanie w okienko. Mama skoczyła do drzwi. Dobiegł mnie jej szloch i głos ojca „Już dobrze Olu, dobrze, daj mi usiąść, bo jestem zmęczony”. Mama zapaliła światło. Tata objuczony różnymi pakunkami siedział z przymkniętymi oczyma. Mama zdejmowała je z niego i głaskała po ramionach. Później wstał, podszedł do łóżka i patrzył na nas. Zobaczył moje otwarte oczy, pogłaskał mnie po twarzy. Szczęśliwa, że ojciec jest wreszcie z nami, usnęłam.

Nazajutrz było święto w domu. Tatusz przywiózł nam rzeczy, o których już dawno zapomnieliśmy. Nieliczni sąsiedzi, których nie wysiedlono, przyjęli go serdecznie, przechowywali i zaopatryli we wszystko, co mieli najlepszego. Na śniadanie mama ukroiła wspaniałego jasnego chleba, a na nim położyła każdemu po kawałku kielbasy. Do tego słodzona cukrem kawa. Patrzyliśmy na to z zachwytem. Nie wiem, jak przebiegała ta wyprawa ojca. Podobno jechał czym mógł, a czasami po prostu szedł pieszo. Było to niebezpieczne i zabroniono nam mówić komukolwiek o tym, że tatuś wyjeżdżał. Rodzice, nie krępując się nas, rozmawiali jednak o planach wydobycia się za wszelką cenę z tego beznadziejnego miejsca naszego wygnania.

Zbliżały się kolejne okupacyjne święta Bożego Narodzenia. My dzieci chodziłyśmy smutne. Wiedziałyśmy, że nie mamy na co liczyć. Wprawdzie mama zachowała jeszcze nieco różnych rzeczy z wyprawy ojca, ale musiało to starczyć na możliwie najdłuższy czas. W przeddzień wigilii rodzice wcześniej położyli nas spać, a sami siedzieli jeszcze przy stole. Zasnęłam, ale obudził mnie jakiś szelest. Paliło się światło lampki. Zobaczyłam wtedy, że tata po cichu oprawiał choinkę, ustawiał ją na stołeczku w rogu naszej izdebki. Mama szybko, jak zwykle, kleiła z kolorowego papieru długie, długie łańcuchy i ubierała nimi choinkę. Wieszala na niej malutkie jabłuszka. Będziemy mieli Święta – pomyślałam i szczęśliwa usnęłam.

To były najpiękniejsze Święta w moim życiu, bo tak bardzo niespodziewane, urządzone dla nas w tajemnicy przez rodziców. Spracowani, odmawiając sobie wszystkiego, zdobyli się nie tylko na tę ubraną kolorowymi łańcuchami choinkę. Przygotowali nawet małe podarunki. Ja, pamiętam, dostałam rękawice z grubej włóczki, które bardzo mi się przydały, bo zima była ostra i ręce, aby ogrzać, kładłam za pazuchę. Teraz wszyscy siedzieliśmy koło stołu. Mama upiekła jakiś placek, zrobiła zupę z suszu owocowego, śpiewaliśmy kolędy... W tym dniu było nam dobrze. Byliśmy razem i to się liczyło mimo wojny za oknem, mimo zimy i niepewnej przyszłości.

Po Nowym Roku przyszedł wreszcie list od przyrodniej siostry ojca z Czerwina. Zawiadamiała go, że dzięki pracy swego męża lekarza może nam pomóc. „Panowie stworzenia” też czasem chorowali. Jeżeli w ciągu najbliższego roku przyjedziemy, to ojciec może liczyć na posadę ogrodnika w pobliskim majątku ziemskim, administrowanym przez Niemca. Nastąpiła dalsza wymiana listów, dotycząca szczegółów naszego przeniesienia. Ojciec podjął starania w miejscowej administracji o zgodę na zmianę miejsca naszego „zesłania”. Pomagał mu w tym jak mógł nadleśniczy. Trwało to jednak długo, prawie rok. W tym czasie rodzice różnymi sposobami chronili nas przed głodem. Wreszcie ojciec otrzymał zgodę na przeniesienie.

Któregoś dnia (nie pamiętam daty) wiosną 1942 roku ruszyliśmy ponownie w drogę, objuczeni pakunkami i niezawodnymi pierzynami. Opuszczaliśmy to miejsce z ulgą. Poza nadleśniczym i jego żoną nie zostawiliśmy tam nikogo bliskiego. Z żalem tylko żegnaliśmy wspaniałe, niezmiernie lasy.

Jechaliśmy z wieloma przesiadkami. Zatrzymaliśmy się na nocleg u brata ojca w Warszawie, która przytłaczała nas dzieci swoim ogromem i hałasem. Tam poznaliśmy dwoje małych kuzynów – chłopca i dziewczynkę. Zetknęliśmy się też ponownie blisko z Niemcami w mundurach, których było pełno na ulicy. Wujek opowiadał rodzicom o życiu w okupowanej Warszawie. Nie narzekał na brak żywności. Był człowiekiem przedsiębiorczym i radził sobie. Mówił jednak o prześladowaniach, aresztowaniach, zabitych. Wrócił znów strach.

Nazajutrz pojechaliśmy dalej. Po kilkugodzinnej podróży dotarliśmy wreszcie do Czerwina, gdzie czekali na nas wujostwo Pacewiczowie w swoim zasobnym domu z ogrodem. Oboje przyjęli nas serdecznie. Ciotka, której zupełnie nie pamiętam, miała jednak mimo swej dobroci śmieszne odruchy skąpstwa. Posadziła nas wszystkich w pięknej, wystawnie umeblowanej jadalni, przy ogromnym stole, po czym – zdronym i głodnym – postawiła odmierzoną ilość kromek chleba i okupacyjną marmoladę. Dopiero ofuknięta przez wuję zastawiła stół czym mogła, a mogła dużo, bo okoliczni pacjenci na ogół płacili „w naturze”. My dzieciaki poznaliśmy wreszcie naszą Majkę, córkę wujostwa, drobną, miłą blondynkę, z którą w przyszłości chętnie się bawiliśmy.

Lata 1942-45. Czerwin. Żyłam tam prawie trzy lata od 10 do 13 roku.

Majątek ziemski Czerwin, bogata i rozległa posiadłość (świetna ziemia, lasy, stadnina koni) należał przed wojną do dwóch starych kalekich kobiet, które niemiecki administrator umieścił w dwóch pokojach jednego skrzydła pałacu i dostarczał im niezbędnych środków do życia. On był teraz panem i władcą kilkudziesięciu fernali, pracowników stadniny koni, gajowych, garstki biuralistów i wreszcie ogrodnika – mojego ojca. Brzuchaty, pełen pychy, chodził zawsze w bryczesach, wysokich butach, skórzanej kurcie, z nieodłączną szpicrutą, z której często robił użytek. Latem zawsze jeździł konno, zimą, czasami samochodem terenowym. Wszyscy go się bali i unikali jak mogli. My dzieci chowałyśmy się przed nim w krzaki.

Otrzymaliśmy w tym majątku pokój z kuchnią w murowanym czworaku. Wujostwo wyposażyli nas w skromny, ale wystarczający zestaw sprzętów i ten drugi etap naszego wygnania wydał nam się mniej straszny.

Ojca czekała jednak bardzo ciężka praca, połączona z dużym ryzykiem. Ciotka przedstawiła go Niemcowi jako ogrodnika... Znał on podstawy ogrodnictwa, ale miał ogromne luki w wiadomościach. Zaopatrzył się więc w odpowiednie podręczniki i nocami ślęczał nad nimi, a rano pędził do pracy. Szybko jednak opanował niezbędną wiedzę i stał się dobrym fachowcem. Ojciec lubił pracę na roli, dobrze się przy niej czuł, co było rym dziwniejsze, że był mieszcuchem z urodzenia i do 15 roku życia wychowywał się w Łodzi. Gdy tak ślęczał od rana do wieczora w ogrodzie nad swymi roślinami i drzewkami matka narzekała, że niepotrzebnie męczy się dla Niemców. Ojciec odpowiadał zawsze, że ziemia jest polska i trzeba ją dobrze uprawiać, bo kiedyś znów będzie nasza.

Było nam tam znacznie lepiej niż w Lipie. Ojciec dostawał „deputaty” w postaci ziarna i ziemniaków, mama przynosiła warzywa z ogrodu. Otrzymaliśmy też przydział mleka. Byliśmy szczęśliwi, że wreszcie skończył się dokuczliwy głód. Brakowało wprawdzie mięsa, ale później ojciec zamajstrował każdemu z nas kłatkę i kupił króliki, które hodowaliśmy z radością, rywalizując z sobą, aż do zakończenia wojny. Poprawiliśmy się, wreszcie zniknęły nasze przerażające wystające gnatki, zaokrągliły się nogi. Moje szczęście nie trwało długo...

Wkrótce administrator zarządził, że mama też pójdzie do pracy. Decyzja była nieodwołalna. Miała sprzedawać w budce ogrodnika wszystko, co ojcu wraz z pomocnikami udawało się wyprodukować.

Tak więc ponownie musiałam przejąć obowiązki mamy w domu. Było to tym trudniejsze, że część dnia spędzałam w szkole.

Wstawałam rano razem z rodzicami, między 6 a 7 rano. Pomagałam przygotować śniadanie, zmywałam i sprzątałam. Później tatuś wychodził do pracy, a mama w pośpiechu ubierała siostry, które podczas gdy ja z bratem szłam do szkoły, ona zabierała do pracy.

Po powrocie ze szkoły musiałam ugotować przygotowany przez mamę obiad, przynieść wody z odległej studni, nakarmić rodzeństwo i pilnować, aby nic złego im się nie stało. Raz w tygodniu, zawsze w piątek musiałam obrać cały kocioł ziemniaków, które ugotowane i utłuczone dodawało się do

wypieku chleba, aby oszczędzać mąkę. Mama tym okupacyjnym sposobem powiększała objętość chleba. Był ten ziemniaczano-mączny chleb nawet smaczny, ale ciężkostrawny. Buntowały się przeciwko tej, mieszance nasze brzuchy i reagowały excusez-moi.... rozgłosnym baceniem. Gdy mama piekla ten swój dziwny chleb tata śmiał się, że przygotowuje kolejny antyniemiecki atak artyleryjski.

Gdy rodzice wracali z pracy, miałam wreszcie trochę czasu dla siebie. Próbowałam wymyślać sobie różne zabawy. Byłam jednak dzieckiem, spracowanym, przyduszonym pracą ponad siły, ale dzieckiem. Te moje radości okaleczonego dzieciństwa to lalki, które sama produkowałam, wycinając główki dziecięce z pocztówek i przyszywając je do nieforemnych, szytych przeze mnie korpusików. Ubierałam je w gałganki i chowałam w niedostępnych dla rodzeństwa zakamarkach. Zimą próbowałam się ślizgać. Nie miałam łyżew ani odpowiednich butów, ale tatuś wmontował w stare drewniaki druty, na których od biedy można było jeździć na stawie.

W ciepłe wiosenne i letnie dni razem z innymi dziećmi podkradaliśmy się do pięknego parku, otaczającego pałac, i ukryci podziwialiśmy nieznaną roślinę, drzewa, kwiaty. Czasami podglądaliśmy spacerujące po parku dawne właścicielki tego majątku. Jedna z nich była garbata, a druga chora neurologicznie. Co kilka kroków przystawała, dziwacznie jak ptak podrygiwała i znów szła dalej. Były dla nas tajemnicze, dalekie i budziły ciekawość. Przed samym wyzwoleniem, gdy zbliżał się front, ktoś z rodziny zabrał je do Warszawy.

Ogromną atrakcją była dla nas stadnina koni. Pracownicy stadniny codziennie ujeżdżali konie i był to przepiękny widok. Przyglądali się temu także dorośli, bo zwierzęta były wyjątkowe. Ojciec nie mógł się im napatrzeć.

Moja nowa okupacyjna szkoła była znacznie miłsza od tej w Lipie. Wprawdzie program i tutaj był okrojony przez Niemców do wiadomości elementarnych, ale nauczyciele po cichu uczyli nas trochę historii i geografii Polski, wychowawczyni czytała na lekcji poezję Konopnickiej, fragmenty „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza i innych książek. Uczyla też piosenek, które nie pozwalały zapomnieć, że jesteśmy Polakami. Było to dla mnie ciekawe i chętnie chodziłam na zajęcia. Nauczyciele ryzykowali jednak wiele, bo szkoła była często kontrolowana przez niemiecką administrację.

Raz na lekcji śpiewaliśmy na liryczną nutę „Ojczyzna twa dziecię to cały ten kraj, i lasy i pola...” gdy otwarły się drzwi i wszedł kierownik szkoły ze znanym nam już Niemcem, w cywilnym garniturze. Nasz urwany śpiew i milczenie wydało mu się podejrzanym. Zapytał, co to za piosenka, którą śpiewaliśmy. Nauczycielka bez wahania od^ powiedziała „śpiewaliśmy właśnie modlitwę”. Niemiec popatrzył na nią i na nas, ale nic nie powiedział. Posłuchali trochę śpiewu pieśni, tym razem rzeczywiście religijnej, i wyszli.

Nasze zajęcia w szkole w okresie od wiosny do jesieni były często zawieszane przez Niemców. Starsze klasy zabierano i pod kierunkiem wyznaczonych instruktorów sadziliśmy na wielohektarowych polach majątku w Czerwinie buraki cukrowe albo dziwną roślinę kauczukodajną koksagis, którą Niemcy ratowali swoją produkcję opon. Była to ciężka dla nas praca. Pochylone, z pojemnikami sadzonek taplaliśmy się w rozmiękłym gruncie, bolały nas plecy, a nogi grzęzły i plątały się ze zmęczenia. Jesienią brano nas także do pomocy przy zbiorze buraków cukrowych, które administrator wysyłał pociągami do cukrowni.

Te buraki to oddzielny rozdział w domowych wynalazkach naszej mamy. Nie było cukru. Słodziliśmy sacharyną. Mama wraz z nami kopała po cichu te buraki cukrowe, później gotowała długo w ogromnych kotłach, aż wytwarzał się z nich brązowy, nieco cuchnący syrop. Zlewała go do butelek i tym słodziła nam kawę, często smarowała chleb, a nawet piekla smaczne ciasta. Protestowaliśmy tylko z ojcem, gdy słodziła syropem buraczanym „żelazne kluski” na obiad.

W niedzielę i święta zwykle całą rodziną chodziliśmy do kościoła. Kościół w Czerwinie był nie tylko domem modlitwy, był miejscem swojskim i polskim. Ludzie czuli się tam pewniejsi, śpiewali, po nabożeństwie przystawali, rozmawiali z sobą, wymieniali nowiny. Stary proboszcz przychodził często pieszo z lasczką do naszych domów, rozmawiał z dorosłymi i dziećmi.

Gdy miałam 11 lat, mama postanowiła, że troje najstarszych dzieci – ja, brat i siostra Terenia, przystąpimy do Komunii. Postanowiła też, że z tej okazji sprawi nam nowe ubrania. Nie było to łatwe. Byliśmy biedni. Chodziliśmy wtedy strasznie ubrani, w stare, wielokrotnie przerabiane sukienki i palta-tołuby, jakieś robione ze spruwanych starych swetrów kamizele i czapki, zwykle w trepach na nogach. Często nie mieliśmy rękawiczek. Do dziś mam zniekształcone dłonie od ciężkich wiader wody, które nosiłam z odległej studni, zgrabiłymi z zimna rękami. Nowe sukienki czy cokolwiek innego do ubrania było dla nas zawsze wielkim wydarzeniem.

Gdy więc mama przy pomocy ciotki zdobyła gdzieś niebieski aksamit, wydał nam się niewypowiedzianie piękny. Uszyto z niego sukienki dla mnie i siostry i ubranko dla brata. Byłam szczęśliwa do momentu, gdy zobaczyłam pozostałe dzieci przystępujące do Komunii. Wszystkie były w białych sukienkach, a niektóre nawet w welonach. Staralam się o tym nie myśleć podczas uroczystości, ale znów poczułam się inna, a pragnęłam być wreszcie taka jak inne dzieci. Mama wytłumaczyła mi później, że nie stać nas na jednorazową sukienkę i te stroje, które dostaliśmy, muszą nam starczyć na

odsłoneczne okazje w ciągu najbliższych lat. Tak też się stało. Oglądałam nieraz pożółkłe stare zdjęcie, na którym stoję w tej aksamitnej sukience, z przechyloną głową i staram się uśmiechać. Okupacyjne dziecko i okupacyjny uśmiech...

Moje marzenia o tym, żeby lepiej, ładniej wyglądać, aby nie wstydzić się swego ubóstwa wobec rówieśników, doprowadziły mnie do zabawnej manifestacji, którą do dziś wspominam z uśmiechem. Wujek Józek – brat ojca z Warszawy przywiózł mi na moje 11 urodziny piękną różową koszulkę z haftem przy dekolcie i u kolan. Byłam zachwycona. Wujek wiedział, czym uszczęśliwić 11-letnią kobietkę. Martwiło mnie tylko, że tej pięknej halki nie widać, bo kryje ją stara, brzydka sukienka. Gdy więc poszłam w niedzielę z koleżankami wykąpać się w pobliskiej rzeczce, zwinęłam sukienkę, włożyłam pod pachę i... przedefilowałam główną ulicą Czerwina w halce, budząc zrozumiałe zainteresowanie przechodniów. Dopiero mama paskiem uprzytomniła mi niestosowność takiego pokazu mody.

Gdy wspominam to, co podtrzymywało nas wtedy na duchu i dostarczało zakazanych radości, to zawsze widzę naszą rodzinę wieczorem skupioną przy karbidówce, w pokoju o zaciemnionych oknach. Wszystkie oczy wpatrzone w ojca, który czyta Sienkiewicza. Przeczytał nam tak w te okupacyjne wieczory cały „Potop” i „Pana Wołodyjowskiego”, które pożyczył od ciotki. Pamiętam swój zachwyt i niecierpliwość. Chłonełam całą sobą urok słowa literackiego, wspaniałe obrazy przeszłości, porwywające postaci bohaterów i ich dzieje. To chyba te wieczory zdecydowały o moim późniejszym zawodzie, a miłość do literatury przetrwała do dziś, ratuje mnie przed żalostną, zepsiałą kulturą masową.

Nie mogliśmy wtedy doczekać się dalszego ciągu i po kolacji zaciemnialiśmy szybko okna i prosiliśmy tatę o czytanie. Czasami ojciec pozwalał mi być lektorką, byłam dumna i starałam się pięknie czytać, choć wzruszenie często przeszkadzało. Gdy tato czytał „Potop”, my dzieci patrzyliśmy na naszą mamę i myśleliśmy po cichu, że Oleńka

Billewiczówna, jej imienniczka, musiała tak samo wyglądać. Mama była piękna. Wysoka, zgrabna, o regularnych rysach twarzy i wspaniałych warkoczach, które upinała w koronę. Byliśmy z niej dumni. Po tych wspólnych literackich wieczorach szliśmy spać z rozkołysaną wyobraźnią, pełni marzeń.

Rzeczywistość wojenna nie dawała jednak o sobie zapomnieć. Były to nie tylko krzyki wszechobecnego administratora i razy szpicrutą (któregoś dnia zbił ojca za jakieś przewinienie), ale przede wszystkim nieoczekiwane najazdy żandarmów i koszmarny nocne. O ile bowiem żandarmi wpadali zwykle w dzień, w poszukiwaniu handlarzy, o tyle nocą spodziewaliśmy się zwykle gestapo.

Zdarzyło się, że w nocy budziły nas światła samochodów, świecące w okna, które odsłaniało się, gdy kładliśmy się spać. Budziliśmy się z łomocącymi sercami, słychać było szept mamy „Znów biorą” i pośpieszne ubieranie się ojca, który zwykle stawał przy szczytowym oknie, wychodzącym na zagajnik, aby w razie czego wyskoczyć i uciec. Gestapo brało młodych mężczyzn, a nieraz całe rodziny. Wywozili ich w nieznanym kierunku. Pojawiło się w naszym słowniku groźne słowo „obozy”, z których nikt nie wracał.

Z tamtego miejsca i tamtych czasów zapomniałam już wiele zdarzeń, nazwisk, twarzy. Ale zawsze będę pamiętała strach, łomot serca tamujący oddech. Okupacja zabrała mi nie tylko dzieciństwo. Pozostawiła także skazę na psychice, nieusuwalny ciężar, który tkwi we mnie głęboko. Nigdy już od tamtych lat nie umiałam w pełni, beztrudnie cieszyć się życiem. Okupacyjne dzieciństwo, obciążone nadmiernie ukształtowało osobowość zbyt poważną, lękową, zamkniętą. Rozwinęło we mnie rodzaj katastroficznej wyobraźni, która każe lękać się wszystkiego, co nieoswojone. Ten bagaż zabiorę ze sobą do grobu.

Niemcy zaostrzyli restrykcje wobec nielegalnego handlu. Do pałacu wprowadził się oddział żandarmów. Mieli swoją kuchnię, którą ustawili obok ogrodu. Stąd urządzali najazdy na pociągi i wylapywali handlarzy z Warszawy i innych miast. Wszyscy byli doskonale odżywieni, bo część rekwirowanych handlarzom artykułów zabierali do swej kuchni. Kucharzył tam niski, tłusty Bawarczyk o błędnych błękitnych oczkach. Przychodził do ojca po warzywa i zapalał do nas dzieci miłością. Mimo oporu i niechęci mamy znosił nam różne łakocie i opowiadał śmiesznym, łamanym językiem, że ma też dzieci „3 chłopaki i 1 dziewczynkę”. Na co zwykle tato odpowiadał, że on ma „3 dziewczynki i jedną chłopaka”. Był to chyba rzeczywiście poczciwiec, wciągnięty w tryby tej strasznej wojny. A może też obniżał się już powoli poziom buty i pewności siebie naszych okupantów.

Coraz częściej mówiono bowiem o klęsce Niemców. Z Warszawy przyjeżdżał często wujek Józek. Przywoził najświeższe wiadomości z frontów. Siedzieliśmy zwykle z tatą nad mapą, którą chowano w szparze pod parapetem okna i na której wykreślali linie zbliżającego się frontu wschodniego. Wujek mówił o przygotowywanym w Warszawie powstaniu. Wokół nas narastał widoczny już popłoch Niemców. Wyjechał oddział żandarmerii. Administrator wysyłał samochodami wszystko do Niemiec. Zabrał najpiękniejsze konie ze stadniny. Swoje osobiste rzeczy i rodzinę wysłał też gdzieś w głąb Rzeszy. Jeździł ciągle na koniu bardziej wściekły, niż kiedykolwiek i gonił ludzi do pracy. Wreszcie któregoś dnia zapakowano jego samochód i administrator wyjechał.

Było lato 1944 roku. Miałam wtedy 12 lat...

Front zbliżał się coraz bardziej. Nad Narwią między Ostrowią Mazowiecką a Ostrołęką toczyły się walki, których odgłosy docierały do nas.

Któregoś dnia pobiegłam z pilną przesyłką od mamy do wujostwa w Czerwinie. Szybko stamtąd wyszłam, aby wrócić do domu, bo droga była zatłoczona uciekającymi Niemcami. Na odkrytych samochodach, wozach konnych wieziono rannych. Obok szli pieszo, grupkami żołnierze. Brudni, w zaplamionych mundurach, zmęczeni jakże różnili się od tych zapamiętanych przeze mnie z września 39 roku.

Nagle nadleciały samoloty radzieckie. Rozpętało się piekło. Żołnierze uciekali gdzie mogli, kryli się w rowach, w bramach domów, pod drzewami. Byli przerażeni. Ja też!

Staralam się wydostać z ich tłumu. Przeskoczyłam ulicę i pognałam w boczną drogę, prowadzącą do majątku. Gonił mnie huk bomb i odgłosy strzałów. Zziajana upadłam przy strumyku, aby chwilę odpocząć, gdy zobaczyłam dwa konie, pozostawione przez Niemców w stadninie. Nie wiem, kto je wypuścił, ale biegły z rozwianymi grzywami, rozdętymi chrapami i przerażonymi oczami. Jeden z nich miał krwawiący bok. Pogalopowały w stronę parku i zniknęły. Pobiegłam ich śladem i kryjąc się pod drzewami, płacząc dotarłam wreszcie do domu, gdzie oczekiwali mnie przerażeni rodzice. Schroniliśmy się w piwnicy pałacu, gdzie było już pełno ludzi.

Rozpoczął się atak artyleryjski. Zagrały słynne „Katusze”. Później nastąpiła kilkugodzinna cisza i wreszcie załomotano do drzwi i ukazali się w nich jacyś żołnierze radzieccy. Zapytali tylko „Germańców nie?” i na zapewnienia, że dawno uciekli, poszli dalej. Tak odbyło się nasze wyzwolenie od Niemców.

Dopiero nazajutrz zobaczyliśmy zmotoryzowane jednostki radzieckie. Zdumiało nas, że na samochodach obok żołnierzy mężczyźni były także kobiety w mundurach. Pojechali i nastąpił okres dziwnego oczekiwania. Nikt nie pracował, szkoła była nieczynna, więc włóczyliśmy się bez celu. W Czerwinie pojawił się jakiś przedstawiciel władzy radzieckiej w towarzystwie kogoś w mundurze polskim. Zaczęto organizować nową administrację, ale szło to opieszale. Rozwieszono plakaty, pod którymi zbierały się grupki ludzi, zaczęto mówić o parcelacji majątków. Niektórzy po cichu wynosili z pałacu różne rzeczy.

Na początku sierpnia uwagę wszystkich odwróciły jednak wiadomości o powstaniu warszawskim. Ojciec chodził sępnym. Martwił się o brata. W nocy patrzyliśmy w tę stronę, gdzie leżała Warszawa. Unosiła się tam odległa, ale wyraźna luna.

Tymczasem pojawiły się nowe oddziały radzieckie. Zawiadomiono nas, że mamy opuścić dom, ponieważ pałac i przylegające budynki przeznaczono na szpital wojskowy.

Ojciec, podobnie jak inni, wybudował ziemiankę, wstawił tam nasze łóżka i piecyk-kanonkę. Zaczęło się znów koczowanie. Powoli wyczerpywały się zapasy. Mama miała jeszcze suchary, których nasuszyła, gdy zbliżał się front. Zbierała też w ogrodzie pozostałe resztki warzyw. Gotowała w tych prymitywnych warunkach codziennie garnek zalewajki, jedliśmy ją, zagryzając sucharami.

Na szczęście zimą oddano nam nasz pokój z kuchnią, bo budynek okazał się mało przydatny szpitalowi. Po upadku powstania warszawskiego nie było wieści o bracie taty. Dopiero po roku dowiedzieliśmy się, że zginął, pozostawiając żonę i dwoje dzieci.

Była zima. Ojciec śledził walki na froncie, czekał na wyzwolenie Łodzi. Rozmawiał coraz częściej z mamą o powrocie do domu. My, cała czwórka, chorowaliśmy na koklusz. Zanosiliśmy się kaszlem, z trudem łapaliśmy oddech. Byliśmy znów wychudzeni. Mama kupowała gdzieś flanele, farbowała ją na różne kolory i szyła z niej bluzki dla radzieckich żołnerek. Płaciły chętnie cegiełkami żołnierskiego chleba, marmoladą i tuszonką. To pozwalało nam przeżyć zimę. Czasami oglądaliśmy zabawy żołnierzy radzieckich. Podobały nam się pełne temperamentu „kozaczoki”, dowcipne przyspiewki, które śpiewały zgrabnie drobnie piersiaste żołnierki.

Do pałacu wiezono jednak z frontu coraz więcej rannych. Nastąpiła ostra zima. Gdy wyzdrowieliśmy, całą gromadą biegaliśmy po parku i okolicy.

Kiedyś poleciliśmy do ogrodu. Postanowiliśmy zajrzeć do budki, w której mama sprzedawała warzywa. Brnęliśmy po śnieżnej grudzie. Przez zakurzone okienko zajrzeliśmy do wnętrza budki i zamarliśmy ze zgrozy.

Wewnątrz stosami leżały amputowane ręce i nogi i całe trupy żołnierzy. Na samym wierzchu leżał całkowicie nagi mężczyzna, z odrzuconą w tył piękną głową o ciemnych, falistych włosach. Był sinobłady, szczupły. Miał otwartą ranę na piersiach. Któryś z małych chłopaków zachichotał. „Milcz bo dam w zęby!” – warknął najstarszy z nas Piotrek. Staliśmy tam, milcząc, jak wrośnięci w ziemię.

Pierwszy raz w życiu nasze oczy widziały śmierć w całej jej grozie i nagości. Nikt też się nie odezwał, gdy wracaliśmy do domu. Gdy mróz zelżał i ziemia rozmiękła, wszystkich i to, co z nich pozostało, żołnierska obsługa szpitala pochowała w zbiorowym grobie w parku.

Tatuz budował cygański wóz. Dotarła do nas wieść o wyzwoleniu Łodzi. Ojca roznosiła niecierpliwość. Chciał najszybciej wracać do domu. Odkupił od kogoś duży wóz, wyremontował go i zbudował nad nim przy pomocy mamy ogromną budę pokrytą brezentem. Ciotka namawiała ojca do pozostania.

Parcelowano majątek. Ojcu zaproponowano przejęcie ogrodu. Mama wahała się, ale ojciec zdecydowanie odmówił. Chciał wrócić „na swoje”.

Czekaliśmy jednak jakiś czas, bo drogi były jeszcze niebezpieczne, a zima dokuczliwa.

Wreszcie przy końcu marca 1945 roku tata pożyczył od wujostwa pieniądze, kupił dużego, silnego konia Kasztana i zaczęły się przygotowania do podróży. Pożegnaliśmy krewnych, przyjaciół i sąsiadów, z którymi zżyliśmy się przez te lata wspólnego życia.

Ruszyliśmy! Droga powrotna trwała długo i była bardzo męcząca. Ojciec powoził, my siedzieliśmy pod budą na wozie i oglądaliśmy mijane wioski i miasteczka. Wszędzie widać było ślady wojny.

Jechaliśmy trasą przez Warszawę. Widok jej wstrząsnął nami wszystkimi. Najpierw Praga, później pełna strachu przeprawa wozem przez pontonowy most na Wiśle, wreszcie droga-tunel, wokół którego z jednej i drugiej strony gruzy, ruiny, gruzy... Nie widać było na tej trasie ani jednego całego domu. Widzieliśmy, jak z tych ruin jacyś ludzie wynosili na noszach prawdopodobnie szczątki swoich bliskich. Ojciec milczał ponuro, mama płakała. My osłupiali nie mogliśmy oderwać oczu od tych ruin. Gdy wyjechaliśmy z Warszawy, zobaczyliśmy jednak ludzi na wozach, pieszo, z tobołkami w rękach kierujących się w stronę miasta. To warszawiacy wracają – powiedział tato.

Nasza podróż trwała jeszcze długo, z różnymi drobnymi przygodami.

W ciepły kwietniowy dzień zmęczony koń i my jeszcze bardziej zmęczeni pasażerowie dotarliśmy do rodzinnej wsi. Jechaliśmy witani przez sąsiadów, ale ojciec pozdrawiał tylko wszystkich pośpiesznie i poganiał konia.

Wreszcie zbliżaliśmy się do naszego domu i... zamarliśmy.

Nie było domu!

Nie było zabudowań gospodarczych.

Stała tylko samotnie stodoła, pobudowana przez ojca na rok przed wojną. Wszystko zostało zniszczone przez uciekającego Niemca. Zostawił kupę gruzów.

Ojciec zszedł z wozu i obchodził gruzowisko. Mama siedziała na wozie i znów płakała. Siedzieliśmy tak długo, aż podszedł tata i powiedział jak zwykle do mamy: „Przeżyliśmy i to się tylko liczy. Odbudujemy się, będzie jeszcze dobrze”. Po czym wyprzągnął konia i zaczął znosić pakunki do stodoły.

Tak skończyło się nasze wygnanie.

Gdy wspominam te czasy, myślę często o zmarnowanych najlepszych latach życia moich rodziców, o ich ogromnym wysiłku, aby utrzymać nas przy życiu, a później nieludzkiej pracy przy budowie zniszczonego domostwa. Nigdy od nikogo nie otrzymali żadnej rekompensaty, żadnej pomocy. Borykali się samotnie z losem. Wykorzystali zmiany ustrojowe i wykształcili wszystkie dzieci.

Niestety, już nie żyją, a do nas nieuchronnie zbliża się starość. Mówi się często o ludziach poszkodowanych przez okupanta, ale prawie nigdy o losach wypędzonych i ograbionych z majątku. Nie powstał też żaden Związek Wyszędzonych, a powinien.

Myślę o tym szczególnie teraz, gdy dochodzą do nas echa wystąpień ludzi typu Eriki Steinbach i innych polityków niemieckich. Rozumiem wprawdzie potrzebę rozsądnego układania stosunków dobrosąsiedzkich, nawet z wrogami, ale... daleka jestem od chrześcijańskiego przebaczenia.

Marta Towiańska-Michalska

Dzieciństwo w wojennym Łunińcu

Stacja węzłowa

Całe swoje dorosłe życie mieszkam w Szczecinie. Lubię swoje miasto i czuję się szczecinianką. Mieszkam tu prawie od pół wieku. Tu skończyłam studia, założyłam rodzinę, urodziłam córkę, tu działo się wszystko, co nadało kształt mojemu życiu. Jednak kiedy myślę o stronach rodzinnych, to myślę o Polesiu, chociaż wyjechałam z Łunińca, kiedy miałam 14 lat. Może to cecha starości, że wszystko, co było kiedyś, wydaje się ciekawsze i piękniejsze.

Nawet pory roku były inne tam, na wschodzie. Po obu stronach ulicy wykopane były rowy, do których spływała woda podczas wiosennych roztopów. Nad rowami położone były na polach drewniane chodniki. Wiosną woda wypływała przez szpary między deskami. Latem rosła w tych rowach bujna roślinność. Przez szpary w deskach wylażyły trawy, kaczeńce, niezapominajki. Wiosna przychodziła burzliwie i w pośpiechu. Jednego dnia jeszcze mróz, a nazajutrz już po lodowych soplach wiszących nad okapem domu spływała woda. Na polach widać było czarne plamy ziemi pomiędzy leżącym jeszcze śniegiem. Jeszcze leżał śnieg, a już rozkwitały kwiaty. Wiosenne burze gwałtownie zmywały resztki zimy. Przychodziła Wielkanoc. Najpierw polska, potem ruska, czyli prawosławna.

To był zupełnie inny świat i inne pory roku. Jakby inna planeta.

Nie istnieje już moje Polesie. W maju 1995 roku byłam na Białorusi. Odwiedziłam moje miasto Łuniniec. Czy odnalazłam dawne wspomnienia? Nie umiem odpowiedzieć. Wszystko wydało mi się inne, nie takie, jakby mniejsze i chyba było inne. A jednak co krok spotykałam ślady przeszłości.

Przed wojną Łuniniec był miastem powiatowym. Ostatnią polską węzłową stacją kolejową przed granicą wschodnią. Miasto położone wśród bagien i lasów miało kształt trójkąta, w którego trzech kątach znajdowały się kościół, cerkiew i bożnica.

Tory kolejowe i stacja przedzielały miasto na dwie części, a most nad torami łączył te części na powrót w jedną całość.

Kiedy umarła moja mama, miałam 4 lata. Odtąd wychowywałam się w domu babci Marianny Bilewiczowej. Dom mojej babci stał po tej stronie miasta, która nazywała się Zalesie, przy ulicy Mickiewicza, pod numerem 5. Rozległy, drewniany, sześciopokojowy, parterowy dom miał kształt rosyjskiej litery P, czyli kształt podkowy.

Po wielu latach stanęłam przed rodzinnym domem, w którym spędziłam trudne, wojenne dzieciństwo. Nie mogłam go od razu poznać. Zmienił sylwetkę, został oszalowany pomalowanymi na zielono deskami. Dorobiono dodatkowe wejścia, zburzony został frontowy ganek i duża oszklona weranda. Mieszka w nim teraz sześć rodzin. Obecni mieszkańcy nie chcieli mnie wpuścić do środka, a ja nie nalegałam.

Idąc ulicą, która nadal nazywa się ulicą Mickiewicza, widziałam czteropiętrowe kamienice i rząd garaży na terenie dawnej posesji mojej babci. Między kamienicami rośnie jeszcze znajomy stary dąb, ze śladami od uderzenia pioruna. Z dawnego sadu zostały dwie stare grusze, które akurat bujnie kwitły.

Pierwsze wiadomości o Łunińcu pochodzą z 1410 roku. Dowiedziałam się tym od Tatiany Konopackiej, redaktorki tutejszej gazety i autorki liczącej 711 stron książki o Łunińcu pod tytułem „Pamięć”. To Tatiana zaprosiła mnie do Łunińca. Miała zamiar opracować drugą część dotyczącą okresu międzywojennego w historii Łunińca. Miała się tam znaleźć również historia mojej rodziny. Wątpię, czy Tatiana mogła zrealizować swój projekt.

Jestem Tatianie wdzięczna za zaproszenie. Pobyt w kraju dzieciństwa skłonił mnie do opisanie rodzinnych dziejów. Zrobiłam to z myślą o mojej jedynej córce i wnuku, którzy na stałe mieszkają w Stanach Zjednoczonych nad Zatoką Meksykańską. Chciałabym, żeby Lila i Jaś wiedzieli, z jakiego drzewa są liśćmi i że Jaś jest polskim Jasiem, chociaż mówią na niego John. Wiem, że jestem dla nich reliktem historycznym. Osobą, która żyła w warunkach niewyobrażalnie odmiennych od tych, w których oni żyją. Takie słowa, jak wojna, okupacja, kresy, to dla nich słowa historyczne i egzotyczne. Może podjęłam się zbyt trudnego zadania, chcąc opisać dawny świat, który przestał istnieć realnie.

Moje podróże na wschód i na zachód są podróżami nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Jaka jest różnica czasu między Polesiem a Ocean Spring w stanie Missisipi? Chyba trzeba to wyliczyć w latach świetlnych. Jestem polskim UFO, które od czasu do czasu ląduje na amerykańskiej ziemi, przywożąc ze sobą bagaż wspomnień z innej planety.

Sąsiedzi

Różne nacje żyły w Łunińcu w zgodzie i symbiozie. Polacy modlili się w katolickim kościele, prawosławni w cerkwi, a Żydzi w bożnicy. Żyli obok siebie i szanowali się nawzajem – w praktyce, bo nie w teorii. Kacap, to zawsze kacap. Przeważnie nieuk. Dobrze, jeśli w ogóle piśmienny. Bolszewik i komunista. Ale przecież nie dotyczyło to pana Sokołowskiego, naszego domowego lekarza. Pan Sokołowski to nasz własny kacap, przyjaciel rodziny, gotów na każde zawołanie przyjść z pomocą. Od lat leczył całą rodzinę bezinteresownie i za darmo. A było kogo leczyć. Rodzina była liczna i chorowita.

Albo Żyd. O, to jeszcze gorzej. Żyd to krwiopijca. Żydzi, nie dość, że zamordowali Pana Jezusa, to do dzisiaj stosują makabryczne praktyki rytualne. Nabijają beczkę gwoździami do wewnątrz. Do środka tak spreparowanej beczki wsadzają katolickie dziecko i toczą beczkę, aż utoczą całą krew z niewinnego, chrześcijańskiego dziecka. Tę krew dolewają do macy.

Pani doktor Singałowka, która leczyła zęby całej rodzinie, przynosiła w żydowskie święto bardzo smaczną macę, którą wszyscy jedli ze smakiem. Ale to była nasza „własna” Żydówka.

Małżeństwa z innowiercami były bardzo źle widziane. Kiedy brat mojej babci – Florian Kozłowski – zawiadomił swoją matkę, że chce się ożenić z Rosjanką, matka powiedziała słynne potem w rodzinie zdanie:

– Syneczku, wolałabym cię widzieć na katafalku.

A i tak potem wszyscy pokochali Nastię, która nigdy nie nauczyła się poprawnie mówić po polsku. Moja babcia mówiła w zadumie:

– Ona jest taka miła. Wszystko byłoby bardzo dobrze, gdyby nie była kacapką.

Były to tzw. rubieże Rzeczypospolitej i trzeba było pilnie strzec polskości, czystości języka, znajomości polskiej literatury i historii.

Przy ulicy Mickiewicza szeregiem stały domy: Jarmontowiczów, Bartoszewiczów, Bilewiczów, Ołtarzewskich, Sawickich i Piotrowskich. Były to rodziny z tradycjami i ambicjami. Nie wiadomo, jakim sposobem pomiędzy tymi posesjami znalazł się dom Bernatów. Chatynka maleńka, kupa dzieci w środku. Narodowość: „tutejsi”. Tak przeważnie określali swoją narodowość Białorusini. Syn Bernatów, Kola, ożenił się z Żydówką. Była bardzo ładna ta Żydówka Bronia i zupełnie do Żydówki niepodobna.

W tym samym czasie ożenił się też mój wuj, Edward Bilewicz. W tym samym też czasie w jednej i drugiej rodzinie urodziły się dzieci. Chłopak i dziewczynka. Z początku Bernatowa była bardzo przeciwna małżeństwu swego syna z Żydówką. Z czasem jednak pokochała swoją bardzo urodziwą synową i udane wnuki. W czasie okupacji ktoś doniósł Niemcom, że żona Koli Bernata to Żydówka. Starej Bernatowej nie było w domu. Poszła do lasu na jagody. Podczas jej nieobecności Niemcy zabrali całą rodzinę i rozstrzelali za torami na Piaskach. Kolę Bernata, jego żonę Bronię, ich dwoje dzieci, siostrę Koli Olę, jej męża, ich troje dzieci, a także starego Bernata. Bernatowa wróciła z jagodami z lasu i zastała pusty dom.

W sionce domu mojej babci stał duży kufer. Pamiętam, że dniami i nocami siedziała na nim Bernatowa i płakała. Nie chciała wejść do naszego domu i nie chciała już być w swoim domu. Siedziała na tym kufurze w sionce i płakała, aż osłepła od tego płaczu. Wypłakała oczy.

Kiedy po latach przyjechałam do Łunińca, opowiedziałam historię rodziny Bernatów Tatianie.

– Było jeszcze straszniej – powiedziała.

– Straszniej?...

– Tak. Bo wie pani, kiedy Niemcy rozstrzeliwali na Piaskach Żydów i tych, co byli z Żydami związani, to synek Koli Bernata i Broni – tej Żydówki, uciekł. Miał wtedy nie więcej niż sześć lat. Udało mu się uciec. Dobiegł aż do Mokrego Zaułka. Był już bardzo blisko od domu swojej babci Bernatowej. Gdyby dobiegł, to może ona jakoś by go skryła. Ale ktoś doniósł Niemcom, że taki mały uciekł z Piasków, gdzie Żydów likwidowano. Niemiec go dogonił. Nawet do niego nie strzelał. Pamięta pani studnię magistracką, która stała u zbiegu ulic Mickiewicza i Leśnej? Ten Niemiec chwycił dzieciaka za nogi i roztrzaskał o cembrowaną studnię. Potem wrzucił na podwórko Bernatów. Bernatową znalazła wnuka z roztrzaskaną głową na swoim podwórku. Nie wiedziała pani o tym?

Nie wiedziałam. Nikt mi o tym nie opowiadał. Byłam wtedy wątłą, wrażliwą dziewczynką, która często budziła się po nocach z krzykiem. Może babcia zabroniła opowiadać w mojej obecności, co się stało z synkiem Żydówki Broni.

Wywózki

Wojna przyszła na Polesie od wschodu.

W nocy obudził nas łomot wyważanych drzwi. Przez wyważone drzwi wpadli sowieccy żołnierze z karabinami „na sztyk”. Przewalowali przez amfiladowe pokoje. Wyszła do nich moja babcia. Po rosyjsku, z poprawnym akcentem spytała:

A wy czego tu szukacie?

Będziemy likwidować burżujów!

Durak! Koszulę w zębach nosiłeś, jak ja robiłam rewolucję w Rosji.

To jest odrębna historia z tym „robieniem rewolucji”. Moja babcia owdowiała w czasie I wojny światowej. Podczas rewolucji znalazła się z dziećmi jako uciekinierka w Jelcu. Pracowała tam jako kierowniczka domu dla sierot i nieletnich przestępców. Wracając z dziećmi do Polski, przywiozła ze sobą listy pochwalne i dyplomy za wzorową pracę. Nie zniszczyła tych papierów mimo sugestii rodziny i przyszedł czas, że się przydały.

Cała okolica zachodziła w głowę, dlaczego nie wywieziono na Sybir Bilewiczowej i jej rodziny.

Rano, po wkroczeniu ruskich, zjawił się pan Sokołowski i powiedział do babci po rosyjsku:

Ot i oczutilisia ja w swojom gosudarstwie. (Obudziłem się we własnym kraju). A jeszcze dodał, że wywiesił czerwoną flagę. Babcia powiedziała:

Precz!

Miałam jej to za złe. Pan Sokołowski był prawie członkiem rodziny. Tyle lat wszystkich leczył. Nie rozumiałam, dlaczego tak bezwzględnie wygonił go ze swego domu. Tymczasem sowieci, mimo że powitał ich jak rodaków, pierwszym transportem wywieźli go na Sybir i słuch o nim zaginął na zawsze.

Wielu tzw. tutejszych z entuzjazmem witało sowieckie wojsko, co wcale nie chroniło przed wywiezieniem w głąb Rosji. W mojej rodzinie mówiono: zdradziecki cios w plecy.

Bardzo żałowałam, że nas nie wywieziono. Ogromnie chciałam zobaczyć Kazachstan i Syberię. Z żalem patrzyłam jak przed sąsiednimi posesjami stawały podwozy i w ciągu paru godzin ich mieszkańcy porzucali swój dom. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza. Kojarzyło mi się romantycznie z obrazami Grottgera. Kibitka, która pośród śnieżnej zamieci unosi w nieznaną dal bohaterskich obrońców wolności.

A tymczasem ładowano ludzi do bydłowych wagonów. Plombowano drzwi i wieziono w nieznane. Zimy na wschodzie były ostre. Na etapach otwierano drzwi, wyrzucano trupy. „Kto umiera, wolny już...” Mój wuj, Hieronim Bilewicz, wywieziony na Syberię, stracił tam matkę i siostrę. Został zupełnie sam, będąc jeszcze chłopakiem. Do Polski wrócił w latach pięćdziesiątych.

Rodzina mojej wujenki, z domu Jarmarkierówniej, córki leśniczego z Kobrynia, została wywieziona na Sybir i do Kazachstanu, a potem różnymi drogami rozsiała się po całym świecie. Major w stanie spoczynku, pan Romański, mąż przyjaciółki mojej babci, został aresztowany i wyniesiony z domu na noszach. Był sparaliżowany i nie chodził. Wkrótce potem wywieziono do Kazachstanu całą jego rodzinę. Nie mogłam odżałować i zrozumieć, czemu nas nie wywożą.

Babcia miała glejt. Babcia miała zawsze sposób na wszystko. Była niezwykłym człowiekiem. Harda, dumna i mądra – nie wiedziała, co to znaczy: poddać się.

Tajna i jawna szkoła

Z przyjściem Rosjan całe moje dotychczasowe życie uległo zmianie. Przestała istnieć prywatna Szkoła Macierzy Szkolnej, do której chodziłam. Do Macierzy Szkolnej chodziły dzieci miejscowej

polskiej inteligencji. Nauka była płatna – 10, czy też 15 złotych miesięcznie. Klasy były bardzo nieliczne. W mojej klasie było chyba ośmioro dzieci. Pamiętam parę nazwisk: Stefan Borkowski, Czesia Zdrajkowska, Czesia Grodowska, no i ja, Maria Alina Towiańska. Wychowawczyni nazywała się panna Korolkiewiczówna, a kierowniczką szkoły była pani Maria Cyranowa.

Teraz miało być zupełnie inaczej. Moje życie jako uczennicy biegło jakby podwójnym nurtem. Zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej z rosyjskim językiem wykładowym. A w domu uczyły mnie moje ciotki – nauczycielki z zawodu i z zamiłowania. Zamieszkała też u nas nauczycielka matematyki z miejscowego gimnazjum zamkniętego w czasie okupacji, pani Mikołajewska-Zaleska. To właśnie ona uczyła mnie matematyki. Był to początek tzw. tajnych kompletów, na które z czasem przychodziło coraz więcej dzieci. Lekcje odbywały się o różnych porach. Do moich obowiązków należało zawiądywanie uczniów o terminach lekcji. Uważałam, że jestem bardzo ważną osobą, skoro powierzano mi takie tajne zadanie. Kiedy odbędą się lekcje, mogły wiedzieć tylko wtajemniczone osoby. Program nauki był szeroki. Podejrzewam, że był bardziej obszerny niż wynikało to z wieku uczniów. Matematyki uczyły dwie panie: Maria Mikołajewska-Zaleska i Aleksandra Tulejko. Łaciny uczyła pani Śliwińska, a rysunków, historii i wiedzy o sztuce, pani Maria Grobelna-Studzińska. Były to przeważnie nauczycielki gimnazjalne. Nauka była w zasadzie płatna, tzn. każdy przynosił coś do jedzenia. Ale jeżeli nie miał czym płacić, to po prostu nie płacił. Podobnie jak moje, życie moich nauczycielek też przebiegało podwójnym nurtem. Przed południem uczyły w legalnie istniejącej rosyjskiej niepełnej średniej szkole.

W szkole powszechnej bardzo szybko nauczyłam się biegle władać rosyjskim. Był taki czas, że równie dobrze mówiłam po rosyjsku jak po polsku. Dobrze się stało, że nauczyłam się w dzieciństwie języka, którego później na pewno nie chciałabym poznać. Polubiłam poezję Puszkina i Lermontowa, bajki Krylowa i wiersze Fieta.

Od czasu do czasu zjawiał się w szkole oficer polityczny z pogadanką o wielkim Kraju Rad. Jest taka scena w filmie Agnieszki Holland EUROPA EUROPA... Komuś, kto tego nie widział na własne oczy, może się ta scena wydać przesadzona i nieprawdopodobna. A jest prawdziwa. Tak naprawdę było. W mojej szkole w Łunińcu, dowodząc, że Bóg nie istnieje, polecono dzieciom wołać:

– Boh, daj pieroh!

Oczywiście Bóg tej prośby nie spełniał. Wtedy padało polecenie, żeby dzieci wołały:

– Sowiet, daj konfiat!

Uśmiechnięty oficer polityczny rozdawał cukierki. Cukierki były duże, a na papierkach był napis: „Spasiba towariszczu Stalinu za szczęśliwe i zażyteczne dzieciństwo”. Co znaczyło: „Dziękujemy Towarzyszowi Stalinowi za szczęśliwe i dostatnie dzieciństwo”.

Moje dzieciństwo przestało być dostatnie. Było coraz bardziej biednie i głodno. Okoliczne wsie ubogie, żywność droga. Chodziło się po wsiach na tzw. obmien, czyli handel wymienny. Odważniejsi i bardziej przedsiębiorczy wypuszczali się na dalsze wyprawy w okolice Równego, Dubna i Łucka. Wsie tam bogatsze i o żywność łatwiej. Jednak w naszej rodzinie nikt nie miał talentu do handlu. Wyprzedawano wszystko co się nadawało do wyprzedaży. Na pierwszy ogień poszło ubranie i pościel. Potem meble. Pewnego dnia jakiś mebel został wymieniony na garnek łożu. Kiedy dotarliśmy już prawie do dna, okazało się, że pod łożem były robaki. Ale nawet ta reszta łożu nie została wyrzucona. Wyrzucone zostały tylko robaki.

Już jako dorosła kobieta, w zetknięciu z ludźmi z innych stron Polski, usłyszałam przysłowie: „Przy stole, jak w kościele”. Oznacza to, że należy jeść w milczeniu. To zupełnie odmienny zwyczaj. Przy stole mojej babci toczyły się długie rozmowy i pamiętam moje zniecierpliwienie, bo od stołu nie można było wstać, dopóki starsi siedzieli. Na talerzach pustki – dawno zapomniano co zjedzono, ale rozmowa toczyła się w nieskończoność, a ja chciałam czytać, nie słuchać. Szkoda. Trzeba było słuchać. Czytać mogę i teraz. A słuchać... Dawno już nie ma tych, którzy wtedy mówili.

Okupacja niemiecka

Kiedy Hitler wypowiedział wojnę Rosji, bolszewicy opuścili Łuniniec i przez kilka dni było to miasto niczyje. Ci, którzy sprzyjali ruskim, teraz uciekli do lasu do partyzantki. Okazało się, że znaleźli się i tacy, którzy czekali na Niemców. I nie zawsze byli to ludzie, którzy pochodzili z rodzin byłych osadników niemieckich. Po zetknięciu z „dziką bolszewią” czekano na Niemców, którzy są cywilizowanym, europejskim narodem. Tak myślała znikoma bo znikoma, ale część inteligencji polskiej. Nie tylko. Także chłopci, wystraszeni perspektywą kołchozów. Gdyby faszyci poczekali z pokazaniem swego prawdziwego oblicza, mogliby zawładnąć wschodnimi terenami bez większych strat. Przerazona ludność uważała, że nie może być nic gorszego niż komunizm i kołchozy.

Niemcy przybyli na motorach i w samochodach, w zwartym szyku, w blasku cywilizacji i porządku.

Nasz dom był duży i nadawał się na niemieckie biuro. Cała rodzina ścieśniona została w kuchni. Dom zajęli Niemcy. Tylko patrzeć, jak wysiedlą nas z domu zupełnie.

Cóż, moja babcia znowu miała „glejt”. Kiedy rządziła w domu dziecka w Jelcu, w rewolucyjnej Rosji, dzięki niej ów dom był często schronieniem dla uciekinierów ze środowisk inteligencji lub burżuazji. Pracowały tam jako nauczycielki i wychowawczynie osoby, które skazane byłyby na zagładę. Między innymi muzyki uczyła baronessa von Taube, której życie ratowała posada zaoferowana przez babcię. Do jej rodziny napisała babcia i na skutek tej interwencji zostawiono nam w użytkowaniu połowę domu. Ja dowiedziałam się o kulisach całej sprawy znacznie później, już po wojnie. A wtedy mówiono, że widocznie Bilewiczowa ma konszachty z diabłem. Bolszewicy jej nie wywieźli, a Niemcy pozwolili wygodnie mieszkać we własnym domu. Wierzyłam w to, że moja babcia jest chyba czarownicą, bo też była bardzo niezwykłą osobą.

Niemcy zajmowali połowę domu i rzeczywiście zachowywali się spokojnie i kulturalnie. Podobno najciemniej jest pod latarnią. Pod samym nosem okupanta odbywały się lekcje na tajnych kompletach. Kiedy zapędzono Żydów do getta, dentystka, pani Singałowska, przychodziła do nas na opuchniętych z głodu nogach, była przyjmowana z honorami, jak nigdy przed wojną. Przed wojną to była „jednak Żydówka”. Teraz, kiedy Talerczykowa (która nadal przychodziła do nas już nie jako kucharka, ale raczej przyjaciółka domu) powiedziała do mojej babci:

– Co to ta Żydowica ciągle tu przyłazi? Jeszcze jakie nieszczęście ściągnie pani na głowę.

Babcia odpowiedziała brutalnie:

– Jak śmiesz, ty kuchto, obrażać moją przyjaciółkę!

Okazało się, że pani doktor Singałowska, zawszona i spuchnięta z głodu, już nie jest „jednak Żydówką”, ale przyjaciółką babci. Getto w końcu zostało zlikwidowane i pani Singałowska przestała przychodzić. Przestał również przychodzić Lewin. Lewin był również Żydem. Miał sklep na Zalesiu. Po drugiej stronie było dużo sklepów, ale za torami, na Zalesiu, były tylko trzy sklepy z żywnością. Jeden sklep należał do Białorusina Demenczuka, drugi to była Powszechna Spółdzielnia Spożywców, trzeci był sklep Lewina. Nawoływano, żeby kupować w polskim sklepie, ale babcia miała zaufanie do Lewina. On też był „naszym własnym Żydem”. Zakupów dokonywano „na książkę”. Znaczyło to, że wszystko, co kupowano w ciągu miesiąca, Lewin zapisywał w książce i rozliczał raz na miesiąc. Nie pamiętam, żeby babcia, czy ktokolwiek inny, prowadził równoległe rachunki. Babcia wierzyła, że Lewin zapisze i rozliczy, jak trzeba.

Dom Lewinów stał na krańcach Zalesia. Na werandzie od ulicy często siedział stary Lewin – ojciec, z długą brodą i w jarmulce. Kiedy wracając ze szkoły przechodziłam obok domu Lewinów, wołał mnie i dostawałam od niego czekoladę z bajkami na obrazkach w środku. Lewin gładził długą brodę i mówił zawsze to samo:

– Oj Malinka, Malinka, ty nawet nie wiesz, jaka piękna była twoja mamusia. Oj, oj, ona była taka piękna...

Lewinowie też oczywiście trafili do getta. Z początku Lewin do nas przychodził i na wyrazy współczucia odpowiadał:

– Zawsze tak nie będzie.

I nie było. Wszystkich rozstrzelano na Piaskach. Podobno dla dzieci Niemcy żalowali kuli i żywcem wrzucali do dołu.

W likwidacji Żydów uczestniczył mieszkający w drugiej połowie naszego domu Niemiec. Był strażnikiem, który pilnował biura we dnie i w nocy. Miał na imię Hugo. Wyglądał zabawnie. Był mały, rudy i miał krzywe nogi.

Ja i moje wujeczne rodzeństwo lubiliśmy ryżego Niemca. Nie bezinteresownie. On co wieczór wnosił nam na ganek miskę kaszy manny na mleku z rodzynkami. Zjadaliśmy kaszę po kryjomu przed babcią. Babcia nie pozwalała nic brać od Niemców.

– Niemiec to nasz wróg i dlatego nie wolno wam nic od nich przyjmować.

– Ale babciu, oni przecież biorą nasze owoce z sadu i warzywa z ogrodu – chciałam jakoś usprawnić zjadaną po kryjomu kaszę, którą przynosił nam Hugo.

– Oni mogą od nas wszystko zabierać, bo Niemiec jest naszym wrogiem.

Ta filozofia przekraczała moje możliwości pojmowania. Wkrótce problem rozwiązał się sam.

Następnego dnia po likwidacji Żydów na Piaskach wyniesiono z biura owinięte w zakrwawiony koc zwłoki strażnika.

Podciął sobie żyły.

Kozy

W miarę upływu wojennych dni dom babci stawał się coraz bardziej przestronny. Znikały meble, pościel, naczynia i inne dobra wymieniane na żywność.

Z okolicznych wiosek przychodzili chłopcy, stawali na progu, oświadczając: „My s obmienom”. Pokazywali oferowany towar: woreczek mąki, kaszy, butelkę oleju, garnek przetopionego łoju. Potem, chodząc po pokojach kłapali bosymi piętami i wybierali, co chcieli „na obmien”.

Tym sposobem zasoby były na wyczerpaniu, a sytuacja stawała się prawie beznadziejna. Nie dla babci. Pomyślała – i postanowiła kupić kozy. Przynajmniej dzieci będą miały mleko. Przeprowadziła skomplikowaną transakcję wiążaną. Sprzedała szafę za żywność, a żywność wymieniła na dwie młode kozy. Krawiec Szloma był bardzo zadowolony, że zdążył dokonać wymiany kóz na żywność przed przeniesieniem się z rodziną do getta.

Nie miałam szans, żeby być rozpieszczoną jedynaczką. Wychowywałam się bez rodziców. Miałam jedenaście lat. W warunkach wojennych dzieci dorastają szybciej. Babcia była mądra i przewidująca, ale nie roztkliwiała się ani na sobą, ani nad nikim. Za to zawsze umiała znaleźć wyjście z sytuacji i sprawiedliwie rozdzielić obowiązki.

–Podobają ci się te kozy – zapytała.

„Podobają”? Byłam olśniona. Mecia była biała, a Ficia ciemna, z pięknie umaszczoną mordką. Pokochałam je natychmiast. Przeliczając na kozie normy wiekowe, kozy były w moim wieku.

– Widzę, że jesteś zachwycona. Są twoje – oświadczyła babcia. Przed wojną otrzymywałam masę zabawek od ojca i książek od cici. Hojnie mnie obdarowywano. Być może po to, aby jakoś zrekompenzować sieroctwo. Były to jednak martwe przedmioty, które wprawdzie mnie cieszyły, ale czy można naprawdę pokochać coś, co nie jest żywe? Kozy były żywe. Bardzo żywe. Jak bardzo, miałam się dopiero przekonać.

Nie od razu zrozumiałam w pełni oświadczenie „są twoje”. Nie skojarzyłam tego z obowiązkami. A musiałam sprzątać komórkę, w której mieszkały, i wyprowadzać je na wypas. Był to czas, kiedy zaczęłam zachłannie czytać książki. Chowałam się z książką w ustronne miejsce. Znikałam z pola widzenia. Czytałam nawet przy księżycu.

–Malina nie słucha żadnych poleceń. Książkę pod pachę i już jej niema. Zupełnie nie ma poczucia obowiązku – mawiano.

Nareszcie miałam alibi. Pasałam kozy, a wtedy mogłam sobie czytać do woli. Mecia była posłuszna. Gorzej z Ficią. Często wchodziła w szkodę albo uciekała. Ale i tak były to bardzo sprzyjające czytaniu warunki.

Z czasem zaczęłam otrzymywać od babci dodatkowe polecenia.

–Weźmiesz kozy na sznurek, wyjdiesz wcześniej, póki jeszcze rosa – mówiła babcia – pójdziesz łąkami aż do mostu na Leśnej. Za mostem po lewej stronie leży kamień. Położysz pod kamieniem to, co ci dam. Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył. Rozejrzyj się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– Przecież tam nigdy nikogo nie ma.

–Zrób jak mówię. Weź ze sobą wózek i po drodze narwij na łąkach trawy. Pacuszkę połóż pod trawą.

Byłam bardzo ciekawą i wścibską dziewczyną. Dlaczego nigdy nie zajrzałam do tej przesyłki? Swoje zadanie traktowałam z wielką powagą i odpowiedzialnością. Była to cenna tajemnica, o której nikt nie mógł wiedzieć. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie to cenne przesyłki kazała mi kłaść pod kamieniem babcia. Ciekawe, czy ona sama wiedziała, co mi powierza.

– W razie czego powiesz, że nie wiesz, skąd się to wzięło.

– Co znaczy „w razie czego”?

– Gdyby ktoś cię wysledził.

– Nikt mnie nie wysledzi. Będę uważała.

Czytałam wtedy najchętniej książki o Indianach. Dzięki tajemniczym przesyłkom indiański świat stawał się realną rzeczywistością. Łąka za posesją mojej babci zamieniała się w dziką prerię, a ja już nie nazywałam się Malina (często z dodatkiem robaczywa). Byłam Srebrną Rybką albo Brzaskiem Poranka. Kiedyś niepotrzebnie wyjawiałam wujowi Marianowi, że moje indiańskie imię to Srebrna Ryba. On natychmiast zdradził rodzinie ten sekret. W dodatku przewrotnie przekreślił, oznajmiając, że mam na imię Śnięta Ryba. Wszyscy podchwycili to z zapałem. Poskarżyłam się babci. Nie okazała współczucia.

– Dobrze ci tak. Nie należy nikomu wyjawiać sekretów i tajemnic. Tajemnica, o której wiedzą inni, przestaje być tajemnicą. Powinnaś to już wiedzieć.

Wiedziałam. Moje dzieciństwo pełne było tajemnic. Nie wiedziałam, w jakich okolicznościach umarła moja mama. Na tablicy nagrobnej pod datą śmierci widniał napis: „Zmarła śmiercią tragiczną”. Nikt nie chciał mi wyjaśnić, co to znaczy. Odkąd wybuchła wojna, nie wiedziałam, gdzie jest mój ojciec. Kiedyś zobaczyłam w miasteczku plakat, na którym była podobizna ojca i obietnica nagrody za wskazanie miejsca, gdzie ukrywa się bandyta.

– Wydawało ci się – powiedziała babcia. – To nie twój ojciec. Może ktoś podobny do niego.

Pomyślałam sobie wtedy, że to też tajemnica. A jeżeli tajemnica, to nie warto pytać, bo i tak się nie dowiem. Przestałam pytać, gdzie jest ojciec. Dorośli mieli swoje tajemnice, a ja swoje. O moich

sekretach wiedziały tylko Mecia i Ficia, ale one na pewno nikomu nic nie powtarzały. Kozy należały do mnie, a ja do nich. Miałyśmy do siebie bezgraniczne zaufanie.

Podczas nalotu bomba trafiła w zabudowania gospodarze. Mecia i Ficia zginęły na miejscu.

Przez jakiś czas było mięso na obiad.

Nie mogłam patrzeć na to mięso. Nienawidziłam moich bliskich, widząc, jak z apetytem jedzą kotlety – ludożercy.

Wydawało mi się, że moje życie straciło sens. Zastanawiałam się nawet nad możliwością popełnienia samobójstwa. Na przeszkodzie stanęły względy techniczne. Nie wiedziałam, w jaki sposób odebrać sobie życie. Utopić się? Nadeszła chłodna pora jesieni i pierwsze przymrozki sprawiły, że woda pokryła się cienką warstwą lodu. Bałam się zimna.

Czary i zabobony

Zabobonne było moje Polesie i gęsto zaludnione nadprzyrodzonymi zjawiskami. Takie, na przykład, krasnale. Były to stworzenia zupełnie pospolite. Kiedy na krańcach posesji mojej babci zobaczyłam nad strumieniem krasnala, nawet nikomu o tym nie mówiłam. Wcale nie był taki znowu malutki. Szedł sobie przez gąszcz wiosennych zawilców rosnących nad strumieniem i trzymanym w rękę patykiem roztrącał białe kwiatki sięgające mu poniżej pasa. Czapkę miał czerwoną, szafirowy kubraczek i żółte butki z cholewkami. Nie odezwał się do mnie. Nie zwrócił na mnie uwagi. Widocznie uznał mnie, tak jak i ja jego, za zjawisko dość pospolite.

Bardziej intrygujący niż krasnale był stary dziadek. Przychodził po prośbie. Białe włosy sięgały mu do ramion. Przez ramię miał przewieszoną torbę dziadowską, na sobie koszulę nazywaną w tamtych stronach „kosworotką”, switkę, czyli kurtkę z samodziału, płócienne spodnie i łapcie plecione z łyka na nogach. Pojawił się w czasie wojny. Przychodził dość regularnie. Stawał na progu. Kłaniał się nisko, do ziemi. Zawodził śpiewnie: „Dzieńdobryj, dzieńdobryj, proszu pani...” Babcia wręczała mu jakieś zawiniątko. Odchodząc, znowu śpiewał: „Dzieńkuju, dzieńkuju, proszu pani...”

Bałam się go. Spod krzaczastych brwi patrzyły bystre, czarne oczy. Nie wiadomo czemu wydawało mi się, że ten dziad to wcale nie jest taki sobie zwykły żebrak, tylko jakaś tajemnicza postać z innego świata. W tym akurat przypadku, co okazało się po latach, miałam rację. Mówiono na niego „leśny dziadek”. On naprawdę był leśny. Tyle, że nie dziadek, a partyzant.

Za mostem kolejowym, w niedużym domku z werandą mieszkała Czarna Dama. Latem przez otwarte okna słychać było dźwięki fortepianu. To ona grała. Mieszkała sama. Kiedy czasem wychodziła z domu, wkładała duży czarny kapelusz z czarnym welonem. Welon powiewał na wietrze. Mijając mnie, uśmiechała się. Zdarzało się to rzadko, bo jak mogłam, unikałam spotkania. Bałam się jej panicznie.

Podobno przyjechała z Brześcia czy Pińska i wynajęła ten domek. Cała jej rodzina zginęła na początku wojny, a ona dostała pomieszania zmysłów. Nie wyglądała jak wariatka. Była tylko dziwadłem. Kiedy Niemcy likwidowali getto, zlikwidowali również Czarną Damę. Według nich była obłąkana i nie miała prawa do życia w uporządkowanym, niemieckim świecie.

Dom mojej babci pełen był zakamarków i tajemnic. Był to drewniany dom, a drewniane domy żyją życiem i wydają z siebie rozmaite odgłosy. Pod podłogą chrobotają myszy. Korniki drążyły w deskach swoje korytarze. Na strychu mieszkały pająki, gacki i sowy. Kiedyś zamieszkała na strychu kuna. Robiła więcej hałasu niż dusza pokutująca. Zanim się wydało, że to kuna zamieszkała na strychu, byłam pewna, że zagnieździł się tam wampir.

Podejrzałam zawsze, że w domu mojej babci ukryte są pomieszczenia, a w nich przebywają tajemnicze istoty. Pomiędzy papierami repatriacyjnymi, które do dziś leżą niewykorzystane w moim biurku, znajdują się plany domu babci. Wynika z nich, że było tylko to, co było. Ale ja nie wierzę. Musiało być coś więcej. Czasami nawet wydaje mi się, że pamiętam tajemnicze drzwi, zawsze zamknięte na klucz.

Będąc dzieckiem, często ocierałam się o śmierć. Moja mama umarła, kiedy miałam cztery lata. Odtąd należałam do babci Bilewiczowej. Wciąż były jakieś pogrzeby w rodzinie, w których musiałam uczestniczyć.

Przyszła wojna i wszyscy żyliśmy w cieniu śmierci. Była ona jednak czymś, co zupełnie nie dotyczyło mnie samej. Ja byłam, w moim pojęciu, nieśmiertelna. Często, kiedy czułam się skrzywdzona, wyobrażałam sobie, jak leżę na katafalku, przepięknie ubrana. Wszyscy płaczą, żałują, że umarłam. Teraz wreszcie doceniają moje zalety. Ci, którzy lubili ze mnie żartować, a sporo miałam takich wujów i kuzynów, mają nie do zniesienia wyrzuty sumienia. Głośno szlochają. Żałują swoich nieprawości.

A ja sobie leżę taka wspaniała i ponad wszystkimi.

A co potem? Jak to, „co”? Wszyscy się rozejdą to wstanę i pójdę bawić się lalkami.

Największym dziwadłem, jakie spotkałam w moim życiu, była Klimczuczycza. Mieszkała w chatce za zagajnikiem. Była to taka mała, przycupnięta przy ziemi chatynka, z polepą zamiast podłogi.

Pachniało tam ziołami zwieszającymi się z pułapu. Na progu przybita była podkowa, a nad drzwiami – nietoperz. Klimczuczycza była mała, chuda, zawsze jakby przepraszająco uśmiechnięta. Umiała zamawiać choroby i odczyniać uroki. Podobno skutecznie. Ale moja babcia kpila z zabobonów i znachorów. Była oświeconą, czytaną damą. Jednak z zainteresowaniem słuchała opowieści służących, jak to Klimczuczycza pomogła jednej czy drugiej.

Klimczuczycza przeżyła okupację sowiecką i niemiecką. Chyba dlatego, że nikt z zaborców jej nie zauważył. A może dlatego, że bali się czarów i uroków, które mogła rzucić na tego, kto by ją skrzywdził. Po wojnie nie została na Polesiu. Przyjechała jako repatriantka na Ziemię Odzyskaną i osiedliła się w miejscowości, w której zamieszkała również moja rodzina.

Nie miałam jeszcze czterdziestu lat i jeżeli chodzi o powierzchowność, byłam znacznie lepszego mniemania o swojej urodzie niż za czasów wczesnej młodości. Przyjechałam z wizytą do rodziny. Spotkałam Klimczuczyczę, wtedy już zgrzybiałą staruszkę. Wzruszona, przywitałam ją bardzo serdecznie. Podniosła głowę, przesłoniła oczy ręką. Przyglądała mi się z niedowierzaniem. Wreszcie klasnęła w dłonie i krzyknęła:

– Malinka! A cóż to z pani zrobiło się? Toż taka piękna była dziewczyna! A teraz... Tfu! Patrzeć hadko!

Wujowie

Późną jesienią wrócił do domu mój wuj, najmłodszy syn babci, Waclaw. Przed wojną pracował na budowie polsko-francuskiej linii kolejowej w Karsznicach. Wracał do rodzinnego domu na Polesiu prawie w poprzek całej Polski. Po drodze zamienił dla bezpieczeństwa swój mundur, który podobno przypominał mundur policyjny, na jakieś żebracze łachmany. Na Wołyniu mieszkała jego ukochana Irena – rozwódka z synem. Wacek nie wracał od razu do domu. Zboczył na Wołyń, do majątku rodziców Ireny, z którymi mieszkała po rozwodzie. Został całą rodzinę wymordowaną w bestialski sposób. Zmasakrowano Irenę i jej małego synka. Podobno Wacek stracił przytomność. Kiedy zjawił się w Łunińcu, był zupełnie siwy, a miał wtedy 25-26 lat. To prawda, że można osiwieć w ciągu paru godzin.

Wacek stanął przed gankiem rodzinnego domu. Babcia spojrzała na niego i powiedziała do kucharki Talerczykowej:

– Talerczykowa, dajcie coś do jedzenia dziadowi. A Wacek powiedział cicho:

– Mamo...

Moi wujowie pracowali na Wolańskich Mostach na Prypoci.

Waclaw miał „lewe” papiery. Przez Wolańskie Mosty szły transporty na wschód. Mosty były wciąż wysadzane przez partyzantów i bez końca naprawiane. Myślę, a szkoda, że już nie ma kogo o to zapytać, że ci sami, którzy podkładali ładunki wybuchowe w nocy, naprawiali mosty w dzień. Podejrzewam nawet, że ja i moje kozy też miały w tej działalności swój skromny udział.

Mój wuj Waclaw wrócił z Karsznic w łachmanach. Jedynym przedmiotem świadczącym o jego dawnej świetności był zegarek – Patek, czy może Cyma. Ponieważ nic więcej nie miał, zegarek przedstawiał dla niego wartość wręcz irracjonalną. Wrócił do domu jesienią. Przyszła zima i nie miał w co się ubrać. Jego brat Edward podarował mu swój myśliwski kozuszek. Był to dar wyrwany wprost spod serca. Edward miał dwoje małych dzieci, a kozuch można było wymienić na żywność.

Niemcy podejrzewali, że robotnicy z Wolańskich Mostów są w kontakcie z partyzantami. Urządzili obławę. Wacek, ratując życie, wyskoczył oknem i zostawił kozuch. Początkowo wszyscy byli uszczęśliwieni, że uciekł z obławy. Ale była zima, nie miał w czym chodzić i po jakimś czasie sprawa pozostawionego kozucha urosła do problemu.

– Taki dobry kozuch! Nie mogłeś to chwycić, uciekając? – I w czym ty teraz będziesz chodził?

– Zima sroga, a ty zdrowie masz marne. Nie upilnowałeś kozucha. ..

– Edek oddał ci taki dobry kozuch, a ty zgubiłeś...

Podczas kolejnej z niezliczonych rozmów na temat kozucha Wacek zdjął z ręki swój bezcenny zegarek i powiedział:

– Co tam kozuch.

Trzasnęła zegarkiem o podłogę i rozbił go na drobny mak. Zapadła cisza. Potem zaczęto mówić o czymś zupełnie innym. Nikt już nigdy nie robił Wackowi wymówek z powodu kozucha. A jeżeli ktoś marudził lub nudził mówiło się:

– Kozuch... kozuch...

Śmieszne. Niedawno, będąc z wizytą u rodziny, usłyszałam jak moja 90-letnia wujenka zamruczała pod nosem: – kozuch... kiedy zbyt natarczywie namawiano ją do jedzenia. A ja myślałam, że już nikt poza mną nie pamięta, że słowo „kozuch” oznacza nudne marudzenie.

W wolnych chwilach nasz piękny Wacek uwodził okoliczne panny i zapamiętałe grał w pokera. Przegrywał i wygrywał, stawki były wysokie, ale nie miało to większego znaczenia. Gra toczyła się stale w tym samym gronie. Jeżeli nawet ktoś zgrai się do nitki, przegrywając rodzinne meble, to następnego dnia „odgrywał się” i wszystko zostawało na miejscu.

Babcia nie pozwalała Wackowi i jego towarzyszom grać w karty w domu. W podwórku stał duży drewniany gołębnik, w którym uprawiano hazard. Lubiłam kibicować. Bardzo wcześnie poznałam zasady gry w pokera. Sądzę, że byłabym w tym dobra, gdyby dopuszczono mnie do gry.

Hazard i panny... Byłam prawdziwym utrapieniem dla Wacka. Podслуchiwałam, podpatrywałam i zaglądałam przez dziurkę od klucza. W dodatku donosiłam.

– Babciu, Wacek całuje się z panienką w maliniaku.

– Co ty mówisz? Z jaką panienką?

– Z Bronią Horodyską.

Babcia wychodziła niby to na spacer do ogrodu i oczywiście szła w kierunku gęstych krzewów malin, które rosły na granicy posesji.

Innym razem zawiadamałam, że na ławeczce pod jabłónką antonówką Wacek obejmuje Jadzię Gocłównę.

– Jadzię, mówisz...

Babcia spokojnie dalej czytała książkę, a ja usiłowałam dociec, dlaczego interweniowała, kiedy chodziło o Bronkę, i nawet palcem nie kiwnęła w sprawie Jadzi.

Żyłam w atmosferze sekretów i tajemnic. Wydawało mi się, że dorośli wiedzą wszystko, a ja nic. Babcia, wszechwładna i niedostępna bogini mojego dzieciństwa, decydowała o wszystkim, dawała poczucie bezpieczeństwa, ale zawsze wydawała się daleka i groźna. Wydawała polecenia i nie odpowiadała na pytania.

– Dowiesz się w swoim czasie – mówiła, kiedy o coś pytałam Najważniejszy dla mnie był wuj Marian. Nieuleczalnie chory na gruźlicę kości, wegetował, czekając na śmierć, która w końcu przyszła. To on nauczył mnie kochać książki. Kiedy przestał chodzić, jesienią i zimą całymi dniami siedziałam w nogach jego łóżka. Czytaliśmy głośno na zmianę. Ulubionym pisarzem Mariana był Żeromski. Miałam nie więcej niż 12 lat, kiedy przeczytałam „Popioły” i „Wierną rzekę”. Uczył mnie na pamięć wierszy, których treść rozumiałam dopiero po latach. Na przykład wiersz Władysława Sebyły:

...Noc bezsenna, nocy drapieżna, słowa zgrzytają w zębach jak piach. I zamieć mroźna i zamieć śnieżna W nierozplątanych snach...

Kiedy umarł, zostałam osierocona po raz drugi.

Życie towarzyskie

Przy naprawach wysadzanych w powietrze obiektów kolejowych zaczęli pracować przywiezieni do Łunińca młodzi chłopcy z organizacji Todt. Pomimo głosu nalotów, niedostatku i ciągłego strachu – młodość to młodość. Młodzież spotykała się w rozmaitych domach albo na plebanii u księdza Sypniewskiego na śpiewy i tańce. Nigdy nie zapraszano chłopaków z Todt. Istnieli w świadomości jako Niemcy, a więc wróg. Pewnego letniego wieczoru młodzież, która zebrała się na werandzie domu jednej z dziewczyn, śpiewała przy akompaniamencie gitary: „...dzisiaj do ciebie przyjść nie mogę...”. W sąsiednim domu kwaterowali chłopcy z Todt. W pewnym momencie do dziewczęcych głosów dołączyły płynące przez otwarte okno sąsiedniego domu, męskie głosy: „...bo do lasu idę spać. Nie wyglądaj za mną oknem...”.

Tak się zaczęła znajomość z chłopakami z Todt, co nie zawsze było przychylnie komentowane przez dorosłych. „To jednak nie wiadomo kto...”. Dziadowie i pradziadowie musieli się znać między sobą – inaczej zawsze był to „nie wiadomo kto”. Byłam jeszcze zbyt młoda, żeby zrozumieć te wszystkie zawilości. Koleżanki miałam starsze. Dzięki intensywnej działalności mojej ciotki, wyprzedzałam program szkolny odpowiedni dla mojego wieku. Uczyłam się więc ze starszymi ode mnie dziewczynami. Przyjaźń ze mną była atrakcyjna z tego również powodu, że miałam bardzo przystojnego wujka, oryginalnego, młodego a siwego. W dodatku romantycznie owianego tchnieniem tragedii. Dziwiłam się, co one w nim widzą. Moim zdaniem był to starzec – miał 26 lat. Nie obchodziły mnie też jeszcze flirty z chłopakami z Todt. To też byli dwudziestoletni starcy.

Czytałam bez opamiętania, pasażerem kozy i żyłam na pograniczu realnego świata. W niedzielę chodziłam z babcią do kościoła na sumę. Nudziłam się w czasie długiego nabożeństwa i z niecierpliwością czekałam na słowa „ite, missa est”.

Parafią zarządzał wtedy młody, bardzo przystojny i wesoły ksiądz Władysław Sypniewski. Starsze parafianki szeptały nawet, że jest zbyt młody i zbyt przystojny. Dzięki niemu dla dzieci i młodzieży kościół stał się miejscem bardzo ważnym. Mimo trudnych warunków wojennych ksiądz z rozmachem organizował uroczystości kościelne. Mir i posłuch miał wielki. Wystarczyło, żeby powiedział słowo, a parafianie zgłaszali się do wszelkich prac. W niedzielne popołudnia można było zastać księdza

Sypniewskiego z dziećmi koło kościoła, jak bawił się z nimi w „czarnego luda”. Plebania była miejscem spotkań, zabaw wspólnego czytania książek, śpiewania. Zastępowała kino, teatr, a czasem i szkołę. Zawsze znalazło się coś do jedzenia dla dzieci. Stara i groźna gospodyni księdza narzekała, że chociaż parafianie starają się jak mogą zaopatrzyć księżowską spiżarnię, to i tak ta mała szarańcza wszystko do czysta powyjada. „Zobaczymy, czy nie ma czegoś jadalnego w spiżarni” – zachęcał ksiądz. Jeżeli było, to znikало. Zapasów ksiądz nie uznawał. Każde z dzieci miało jakieś swoje „odzwierzęce” przezwisko. Mnie nazywał Aligator. Ciekawe, dlaczego tak mnie nazwał. Gdzie Rzym, gdzie Krym. Po wielu latach zobaczyłam prawdziwe aligatory. Moja córka mieszka nad Zatoką Meksykańską w Stanach Zjednoczonych. W delcie Missisipi żyje dużo tych gadów.

Wielkim zaszczytem i wyróżnieniem było słuzenie do mszy świętej. Chętnych było dużo. Najmłodszym ministrantem był mój sześciolatek wujeczny brat. Bardzo tę służbę przeżywał. Zawsze asystował przy prasowaniu swojej białej komży, obszytej koronkami. Czy będzie nietaktem, jeżeli po ponad pół wieku wyznam, że komża Czarusia uszyta była z batystowych majtek mojej babci? Komża przykrywała wszystkie niedostatki stroju, ale z butami był kłopot. Ministrant musiał mieć buty.

– „Bosiaków” przed ołtarzem nie chcę – powiedział ksiądz.

Rodzina musiała się zmobilizować i nogi ministranta obuć. Zjednoczono się w wysiłkach i zdobyto kalosze dla Czarusia, trochę za duże, nie wyglądały elegancko, ale bosy nie był. Kalosze miały wielką zaletę. Można w nich chodzić po wodzie, a tej na Polesiu nie brakowało – wszędzie bagna. Czarus przyszedł za wcześnie do kościoła i poszedł łowić żaby w sadzawce. Brodząc w wodzie, zgubił kalosz. Zrozpaczony i zapłakany przybiegł do zakrystii. Ksiądz Sypniewski z ministrantami wyruszył na poszukiwania czarusiowego kalosza. Brodząc w wodzie, z zakasaną sutanną, kierował akcją poszukiwawczą. Parafianie w kościele czekali, dziwiąc się, dlaczego msza Św. się opóźnia... Kalosz najmłodszego ministranta był bardzo ważny.

Będąc z wizytą u rodziny, zapytałam Cezarego, czy pamięta to zdarzenie.

– No tak, pamiętam. Ale ja nie łowiłem żab. Kalosze były za duże. Kopnąłem w kretowisko na brzegu stawu. Kalosz wyleciał w po wietrze i wpadł do wody.

Pamiętał. Przechował to w pamięci przez tyle lat. Skąd ksiądz Sypniewski wiedział, jak ważny to kalosz?

Kiedy wojna się skończyła, szykowaliśmy się do wyjazdu na zachód, na Ziemię Odzyskane. Cieszyłam się, że jedziemy w nieznane. Nie rozumiałam mojej babci, która przeżywała to bardzo dramatycznie. Wcale nie chciałam zostać w Łunińcu. Dopiero teraz, u schyłku życia, wracam tam myślą i szukam sensu przeszłych zdarzeń, który często zawierusza się w codzienności.

W swoich szpargałach mam jeszcze stary pamiętnik, w którym moja koleżanka, Czesia Zdrajowska, napisała:

Młodość nasza jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały. Choć przemija sama szparko Cios jej dłuta wiecznotrwały...

Epilog

Opuszczając 14 sierpnia 1945 roku swój dom przy ulicy Mickiewicza 5 w Łunińcu, moja babcia obejrzała się. Po raz ostatni spojrzła na dom i powiedziała:

– Ja tu wrócę. Tu była, jest i będzie Polska.

Mylila się. Przeżyła 93 lata. Zmarła 19 maja 1969 roku. Pochowana została na cmentarzu w Słupsku.